

HUGH KENNEDY
ZAMKI
KRZYŻOWCÓW



Gazeta Kulturalna

ISSN 1734-3240

Miesięcznik Rok XXXI Nr 2(354) Zelów, luty 2026

Poezja Proza Krytyka Historia Sztuka Muzyka

W numerze:

Wiersze: Grzegorza Bazylaka, Tadeusza Karabowicza, Janusza Orlikowskiego, Iwony Pinno

Andrzej Dębkowski – *Europa w kapciach. Chiny na torach; Księga życia i odpowiedzialności* oraz *Pod łukiem ludzkiego światła*

prof. Maria Szyszkowska – *Filozofia codzienności* (232)

Stefan Jurkowski – *Gałązka nadziei*

Joanna Friedrich – *On cloud nine...*

Andrzej Walter – *Anna z Poezji: Ja poetka niosę skargę*

Mirosław Osowski – *Moja walka z rakiem* (77)

Adam Lizakowski – *Czy poeta Czesław Miłosz był kosmitą?* (7)

Paweł Kuszczyński – *Światło bursztynów*

Jan Belcik – *Poetyckie „Gdziekolwiek”*

Doroty Kwoki

Mirosław G. Majewski – *Buszujący w antykwariatach* (9)

Dariusz Pawlicki – *Nieco krytycznie o hierarchii w kulturze, ale i o jej niezbędności*

Jerzy Grupiński – *Moja żona zamartwia się...*

Tadeusz Zawadowski – *Podróże koleją z Draganem Daniłowem*

Anthony Smith – *Świat Anny*

Paweł M. Wiśniewski – *Przepaść jak kamień w wodę*

Witryna

Opinie

Noty

Poglądy

Informacje

Kronika

Konkursy

Szkice

Eseje

Publicystyka

Felietony

Krytyka

Filozofia



Kronika

Pożegnanie Magdy Umer



12 grudnia 2025 roku odeszła **Magda Umer** – artystka, której głos, wrażliwość i sposób opowiadania o świecie

stał się dla wielu ludzi czymś więcej niż tylko muzyką. Była obecna w naszych domach od dziesięcioleci, szeptała nam w słuchawkach o delikatnych sprawach, przypominała, że warto być uważnym, czułym, że warto słuchać słów i nie bać się ciszy między nimi. Jej śmierć zostawia we mnie poczucie, jakby zgasło małe, ale bardzo ważne światło – takie, które nie oślepiało, lecz ogrzewało.

Magda Umer była mistrzynią subtelności. W czasach, w których wszystko musiało być głośne, szybkie i efektowne, ona pozostawała wierna swojej drodze – drodze szeptu, zadumy, spokojnych fraz, które trafiały prosto do środka człowieka. Słuchało się jej tak, jak czyta się listy od kogoś bliskiego: bez pośpiechu, z wdzięcznością za każde słowo. Właśnie dlatego jej odejście tak boli – bo wraz z nią kończy się pewna epoka mówienia i śpiewania o świecie z delikatnością, która była jej znakiem rozpoznawczym. Była kimś więcej niż tylko wykonawczynią poezji śpiewanej. Była jej opiekunką, strażniczką i tłumaczką. W jej interpretacjach słowa Osieckiej czy Młynarskiego odświeżały nowe znaczenia – takie, które można było odkryć dopiero wtedy, gdy ktoś potrafił je wypowiedzieć tak miękko i prawdziwie, jak robiła to właśnie ona. Miała rzadki dar: potrafiła sprawić, że słuchacz na chwilę zatrzymywał się w biegu codzienności, jakby ktoś powiedział mu nagle: „Spójrz. Pomyśl. Oddychaj”.

Dla wielu z nas była przewodniczką po świecie emocji, których nie potrafimy nazwać. Nie wstydziła się mówić o kruchości – własnej i cudzej. W jej głosie było coś z melancholii, ale nigdy z rozpacz; coś z czułości, ale bez przesady; coś z dojrzałości, która nie udaje, że zna wszystkie odpowiedzi. Dzięki niej wiedziliśmy, że można być delikatnym i jednocześnie silnym – i że czasem jedno nie istnieje bez drugiego.

Jej odejście jest jak zamknięcie cienkiej, pięknej książki, którą czytaliśmy powoli, wiele lat, wracając do ulubionych fragmentów. Ale to nie jest książka, którą odkładamy i zapominamy. Jej muzyka, sposób interpretacji i wrażliwość pozostaną z nami na długo. Będą wracać w wieczornych momentach ciszy, w chwilach, gdy chcemy się zatrzymać, gdy potrzebujemy czegoś miłego, spokojnego, uczciwego. Magda Umer nauczyła nas, że sztuka może być kołysanką dla dorosłych – i że w tym nie ma niczego infantylnego. Przeciwnie: jest to jedna z najtrudniejszych i najpiękniejszych form rozmowy ze światem.

Myślę, że wielu z nas będzie dziś myślało o niej tak, jak myśli się o kimś bliskim z rodzinnego albumu zdjęć. O kimś, kto nie tylko był obecny, ale kształtował sposób patrzenia na życie. Śpiewała o tęsknocie, miłości, przemijaniu – nie jak ktoś, kto stoi przed nami na scenie, ale jak ktoś, kto siedzi obok i opowiada historię do poduszki. Może dlatego tak wielu ludzi ma poczucie, że odeszła osoba znana im osobiście,

choć często znali ją tylko z płyt, koncertów, ekranów.

Dzisiaj zostaje nam wdzięczność. Za wszystkie te chwile, kiedy jej piosenki były tłem ważnych wydarzeń albo towarzyszyły nam wtedy, kiedy trzeba było po prostu pobyć ze sobą. Za to, że przypominała nam, iż warto dbać o słowa, o prostotę, o uważność. Za to, że w świecie pełnym hałasu dawała nam swój cichy głos – głos, który nie potrzebował siły, by mieć moc.

Magdo, dziękujemy. Za muzykę, za opowieści, za światło, które zostawiłaś. Za to, że pokazałaś, jak można być prawdziwym. I za to, że Twoje piosenki zostaną z nami na długo po tym, jak zamilkł Twój głos.

Andrzej Dębowski
Fot. ©Maciej Kłós

Zmarła Mirosława Poncyliusz



11 stycznia 2026 roku zmarła **Mirosława Poncyliusz** (ur. 1952) – poetka związana z Poznaniem, z wykształcenia elektronik, absolwentka Politechniki Poznańskiej. Zadebiutowała w 2005 roku w antologiach konkursowych (m.in. „Bliżej nieba – bliżej

ziemi” oraz almanachu TAD-AD), a jej wiersze ukazywały się później w czasopiśmie i periodykach literackich, m.in. w „Okolicy Poetów”, „Protokole Kulturalnym”, „Akancie” i „Gazecie Kulturalnej”. Była członkinią poznańskiego Klubu Literackiego oraz honorową członkinią Stowarzyszenia Liberum Arbitrium.

W dorobku książkowym wymieniana jest jako autorka tomu „Tylko skrzydła czyszczę” oraz tomiku „Zdarzyło się” (recenzowanego i omawianego w prasie literackiej), a jej poezję sytuowano w nurcie liryki osobistej – dyskretniej, formalnie zdyscyplinowanej, o silnym komponentie zmysłowym i „bliskiej życia”. W środowisku poznańskim była także laureatką Turnieju Poetyckiego Jednego Wiersza o „Statuetkę Św. Łazarza” (2008) za utwór „Zdarzyło się nam życie”.

Konkursy

„Zduńska fraszka” antologia fraszek o Zduńskiej Woli

W związku z jubileuszem 200-lecia nadania praw miejskich Zduńskiej Woli, a także 50-lecia działalności Towarzystwa Przyjaciół Zduńskiej Woli oraz 80-lecia działalności Miejskiej Biblioteki Publicznej i nadchodzącego 50-lecia działalności Domu Kultury „Lokator” ogłaszamy nabór na fraszki do antologii, tematycznie związanej z naszym miastem.

Organizatorami przedsięwzięcia są instytucje środowiska kulturalnego: Towarzystwo Przyjaciół Zduńskiej Woli – inicjator przedsięwzięcia i publikacji; Dom Kultury Lokator w Zduńskiej Woli; Miejska Biblioteka Publiczna im. Jerzego Szaniawskiego w Zduńskiej Woli; Powiatowe Centrum Kultury, Sportu i Rekreacji (PCKSR) w Zduńskiej Woli; Miejski Dom Kultury

Ratusz w Zduńskiej Woli oraz Klub Literacki Topola przy Miejskim Domu Kultury Ratusz w Zduńskiej Woli.

Zapraszamy do nadsyłania fraszek zarówno osoby zrzeszone jak i niezrzeszone w związkach twórczych. Wiek nie ma znaczenia. Prosimy o przesłanie od 3 do 10 utworów tematycznie związanych ze Zduńską Wolą (mogą być także już wcześniej publikowane) w nieprzekraczalnym terminie do 13 marca 2026 roku.

Formy przesłania:

1. Droga elektroniczną – prace opatrzone imieniem i nazwiskiem, wraz ze skanem podpisanej ręcznie, czytelnie klauzuli RODO oraz prawnoautorskiej, na adres mailowy: zduńska-fraszka@gmail.com, wpisując w temacie hasło: Zduńska Fraszka.

2. Listownie – Poczta Polska – utwory w 5 egzemplarzach należy umieścić w dużej kopercie i dołączyć małą kopertę z kartką, zawierającą imię, nazwisko, adres pocztowy oraz e-mail lub numer telefonu, a także z podpisaną czytelnie klauzulą RODO oraz prawnoautorską. Małą kopertę należy zamknąć, a następnie dużą opatrzoną adresem nadawcy oraz hasłem Zduńska Fraszka, wysłać na adres: Dom Kultury Lokator, ul. Łaska 46, 98-220 Zduńska Wola.

Oceny nadesłanych prac oraz podjęcia decyzji odnośnie ich zakwalifikowania do wydawnictwa dokona jury, powołane przez Organizatorów. Przewidywany czas ukazania się w druku oraz promocji: „Zduńska Fraszka” – Antologia fraszek o Zduńskiej Woli – maj/czerwiec 2026 roku.

Udział w przedsięwzięciu jest bezpłatny, honorowy. Organizatorzy nie wypłacają honorarium za zamieszczenie prac w wydawnictwie, natomiast każdy z ich autorów otrzyma bezpłatnie jeden egzemplarz wydawnictwa.

XXIX Konkurs o Nagrodę im. Krzysztofa Mętraka

Organizatorami konkursu są: Anna Osmólska-Mętrak i Janusz Zaorski, Polski Instytut Sztuki Filmowej oraz Stowarzyszenie Nowe Horyzonty.

W konkursie mogą wziąć udział osoby w wieku **do 33 lat**.

Na konkurs należy przesłać co najmniej trzy **teksty krytyczne o tematyce filmowej**.

Całkowita objętość wszystkich nadesłanych prac nie może przekroczyć 32 000 znaków ze spacjami.

Jedna z prac konkursowych może mieć formę audio lub wideo (maks. 15 minut). Przy wyborze tej opcji objętość części pisemnej nie powinna przekroczyć 22 000 znaków ze spacjami.

Do prac należy dołączyć krótki życiorys autora.

Zgłoszenia należy przysyłać mailem.

Termin nadsyłania prac mija **15 marca 2026 r.**

Nagrody: I nagroda – rzeźba autorstwa Adama Myjaka oraz **15 000 zł**; II nagroda – **10 000 zł**; III nagroda – **5 000 zł**.

Strona konkursu:

<https://www.nowehoryzonty.pl/artykul.do?id=3347>

Andrzej Walter

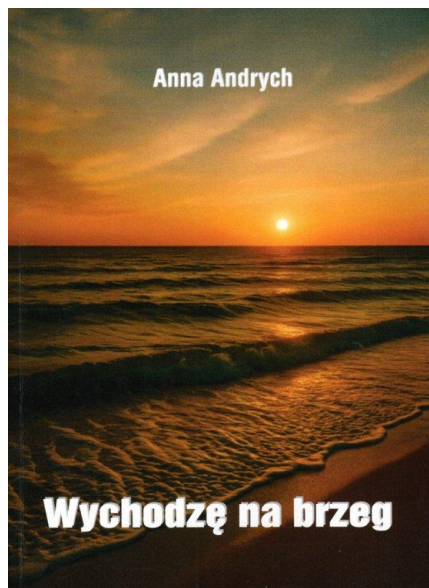
Anna z Poezji: Ja poetka niosę skargę

Anna Andrych ze Zduńskiej Woli, kojarzona z poznańskim oddziałem Związku Literatów Polskich to artystka wyjątkowa. Ukryła się bowiem w głębokim cieniu. Nie szarpie się, nie rozpycha, nie dramatyzuje na los pisarski, nie wnosi żali ani pretensji, i tylko: tak po prostu; z dnia na dzień, z roku na rok jedynie robi swoje, czyli pisze, działa, żyje bardzo aktywnie i zachłannie tym przedziwnym środowiskiem literackim oraz powiedzmy otwarcie – niezłą, albo nawet bardzo dobrą własną twórczością literacką, twórczością oddajmy wykraczającą daleko poza konstruowanie współczesnej egzystencjonalnej poezji polskiej, ale twórczością eseistyczną, dziennikarską czy eksperymentalnie publicystyczną. Słowa jakoś tak odnajdują tę poetkę we właściwym momencie, a ów ostatni tom, który sprowokował mnie z kolei do pisania – tom zatytułowany „Wychodzę na brzeg” poraża czytelnika mocnymi tezami czy refleksjami. Coś jakby nie Anna, którą cenię i znam, tylko Anna, która się rozwija, poszukuje, walczy z kolejnym natłokiem emocji, aby wybuchnąć wyrazistym wierszem, będącym zarazem wnikliwym odwzorowaniem rzeczywistości wraz z liryką, do której zdążyła nas już przyzwyczaić. Twórczość Anny Andrych wędruje w znakomitym kierunku. Nie dość, że chwytą ów wartościowy zew zawsze ciekawego świadectwa życia literackiego, to dodaje nam tom ostry i zadziorny, który zmusza do zastanowienia i refleksji. Tom dobry, albo miejscami bardzo dobry. Od pierwszego wiersza Autorka poznańska (ba, zduńskowolska?) konfrontuje nas literacko z domem wariatów, tym samym domem wariatów z książki Christine Lavant Anno Domini 1935 w Klagenfurcie, który chyba nam przypomina obecnie panujący dom wariatów, którym nieuchronnie stał się dziś nasz świat. Analogie nasuwają się samoistnie.

(...) w moich żyłach
szybciej pulsuje krew
przepływają metafory razem z pierwszymi
płatkami śniegu przeczuwam ścięcie mrozem
mojej głowy pełnej niewiadomych
słyszę kiedy wiatr zatrząskuje niedomkniętą
myśl
biegnącą dramatycznie w poprzek zdania
które właśnie (...)

Kiedy wiatr zatrząskuje niedomkniętą
myśl ja widzę wojnę, kumulację zła, natłok de-
wiacji, deformacji, egoizmu, aż po pęczniejące
arsenały domagające się użycia, tak jak krew

pulsująca w żyłach musi czynić nas żywymi,
tak wojna może nas uśmiercić, albo tylko zniewo-
lić. Wojna bowiem Anno Domini 2025 albo
więcej to będzie wojna zastraszenia i zniewo-
lenia – nie śmierci. Śmierć jest mało spektaku-
larna, mało wizyjna, źle się sprzedaje. Tortury,
znęcanie się, grzebanie w ranie – to się dziś
widzowi podoba. Taka wojna wiruje na hory-
zontach. Wojna zniewoleń. Dom wariatów.



Anna Andrych odpala wrotki. W wierszu
Świadomość (...)

A w wierszu przedostatnim *Smutno mi
Boże...* zwróćmy uwagę na Boga zapisanego
wielką literą oraz sam tekst, doskonale ujawniający nasze realia poezją

niebo posiniało
ma zakrzepić błękitu mocy
przyszło nam żyć
w czasie trudnym skomplikowanym
rośnie w nas niepokój
człowiek drugiego nie wita nie żegna
podejrzliwie
patrzy spod opuszczonej głowy
zza rogu snuje się fetor zdrady
stu oszustw
dlatego dziś przed Twoje oblicze
ja poetka niosę skargę
żaden sąd jej nie rozpatrzy
a Ty widzisz
pod sinym niebem
ludzi toczących przed sobą gorycz
nie potrafię ich i siebie pocieszyć

słowem
bowiem zgorzkniała nawet wyobraźnia

Boże mój. Jak mnie ten wiersz zabolął. I
boli dalej, do dziś, i będzie bolał, bo miał boleć,
i ma boleć po kres bólu, bo bolesność jest jego
alter ego, bo w nim, w tym wierszu jest
wszystko to, do czego w relacji człowiek –
człowiek doszliśmy, i doszliśmy w interakcji
człowiek – człowiek = sztuka... sztuka jak szta-
faż, otoczenie, ramy.

Ja poetka niosę skargę

Nie potrafię ich i siebie pocieszyć – nie potrafię
pocieszyć S Ł O W E M

Podkreślmy to i czytamy od początku.
Cała ta sztuka, poezja, pisanina tych nieszcze-
snych Miłoszy, Szymborskich, Różewiczów
koncentruje się dziś na wyżej wymienionej
konotacji.

Ja poetka / poeta, niesiemy skargę i nie
potrafimy pocieszyć ... nawet siebie. Zatem nic
już nie ocala. Na pewno nie poezja. Ale i nie
wiem czy w ogóle cokolwiek. Bóg umarł. Poe-
zja wraz z Nim. Nietzsche umarł. Świat uczyni-
liśmy Wielką Sztucznością. Wielki Wybuch
doprowadził do Wielkiej Sztuczności. Zapiski
z domu wariatów tylko dopełniają dzieła. Fe-
tor zdrady. Oszustw. Człowiek człowiekowi
(cyfrowym) wilkiem. Piekło to inni. Wycho-
dzą na brzeg. Jeszcze w moim dzieciństwie
wyjście na brzeg dawało życie, tak się koja-
rzyło. Kojarzyło się też inaczej. Radośnie, he-
donistycznie niemal... „Wyjście na brzeg Ur-
suli Andress” to scena z filmu James Bond: Dr
No (1962), gdzie aktorka Ursula Andress wy-
chodzi z wody w ikonicznej białej bikini, trzy-
mając muszlę. Ta scena jest jedną z najbar-
dziej rozpoznawalnych i kultowych w historii
kina, a aktorka stała się symbolem „Dziew-
czyny Bonda”. Kto dziś tak rozumie sztukę,
pop-art. W najlepszym wydaniu. Dziś „dziew-
czyna Bonda” to suka pierwszej wody, wyra-
chowana kobieta współczesna, ze spluwą w
kilku intymnych miejscach i sercem ze stali.
Takie czasy, taka karma. Taka też poezja.

Świadomość 2

(...)
chciałam z pazurem dopisać post scriptum
jednak oranie słów przekornie
to moźolna praca brakuje oddechu
jakby woda zalewała płuć

(Dokończenie na stronie 4)

Anna z Poezji: Ja poetka niosę skargę

(Dokończenie na stronie 4)

Wyjdźmy na brzeg. Tom Anny Andrych pobudza. Zatrważa. To siarczasty kawał świetnej polskiej poezji współczesnej. Ból, bezradność, powódź, co dławi dorobek życia, udar, osierocenie, smutek, nostalgia, takiej Anny Andrych być może jeszcze nie znacie, ale to suma doznań, doświadczeń i emocji i czas się ziścił. Poetka przywołuje skórę Nosorożca Stanisława Grochowiaka, pisze też „gdyby żył w 2024” (...). Odpowiem Jej na użytek tego tekstu Różewiczem

urodziłem się nosorożcem
z grubą skórą i rogami na nosie

chciałem zostać motylem
ale powiedziano mi że
muszę być nosorożcem

potem chciałem być
skowronkiem bocianem
ale powiedziano mi że to niemożliwe

pytałem dlaczego – odpowiedziano
bo jesteś nosorożcem

chciałem być małpą
a nawet papugą

ale powiedziano... NIE

śniło mi się że mam
bardzo delikatną różową skórę
i nasek jak Kleopatry

ale mi powiedziano że
mam bardzo bardzo grubą skórę
i że mój róg to dowód tożsamości

byłeś jesteś i będziesz nosorożcem
do śmierci

To Różewicz z roku 2004, sprzed 21 lat. Jaki jest dziś nasz dowód tożsamości? Czy my jeszcze w ogóle mamy jakąś tożsamość? Jedno jest pewne, jako poeci wszyscy jesteśmy nosorożcami i pozostaniemy nimi do śmierci. Zapewne wydarzy się ona ... na drugim planie.

Na drugim planie

do granic soczystości
rozpalasz kolory na płótnie
a ja pozuję
z daleka
... wolisz zapomnieć
o zmarszczce w kącie ust
długo rzeźbionej tarczy

jesteś jej autorem

W wielu głowach coraz głośniejszy / dzwony
biją na alarm. Dopełnia się koszt brudu...

To znów słowa Autorki „Wychodzę na brzeg”. Mój Boże. Jaki jest ten brzeg. Czy? Dlaczego? I dokąd teraz?

Żeby pojąć i zrozumieć, ba, przeżyć ten tom trzeba wiele widzieć i wiedzieć. Trzeba być w oku cyklonu, postrzegać wielopłaszczyznową rzeczywistość i różne jej wymiary. Trzeba mieć rozwiniętą i pielęgnowaną wiedzę literacką, filozoficzną, antropologiczną i wizjonerstwo z zakresu ducha czasów. Trzeba czuć dokąd zmierza świat i co tak naprawdę nam zrobiono, albo i co sobie sami zrobiliśmy czyniąc ten świat właśnie takim. To ma pytać i poddawać w wątpliwość, nie udzielać odpowiedzi. Odpowiedzi udzielićie sobie sami jeśli go przeczytacie. Jeśli... ze zrozumieniem.

I taki oto wiersz bez tytułu:

bywa że ktoś
pod krzyżem
zawiera pakt z diabłem

Dziś niemal cały świat, czy to bez krzyża, czy pod krzyżem, zawarł pakt z diabłem. Jedynie te pojęcia już dziś niewiele też znaczą: krzyż, pakt, diabeł. Sumienia i grzechy. Cóż to dziś jest? Polityka? Oldskulowa ściema? Co my przez to rozumiemy pytają młodzi. Żyją higienicznie, bez Boga, diabła i sumień. Z dnia na dzień. Życie chwytają z rogi. Nikim się nie martwią, nikim nie przejmują, sami sobie sterem, żeglarzem, okrętem. Nikomu na starość szklanki wody nie dadzą, na nic i nikogo nie liczą. Samotne nomadyczne komórki wyalienowane i silne, lecz to tylko złudzenie.

Nie, nie mam recept na świat. Ja poeta wnoszę skargę. Tyle mogę i tylko tyle. Moje przyjaciółki i przyjaciele poeci też ją wnoszą – Ja poetka niosę skargę

Tańczący z wilkami

Kevinem Costnerem to ty nie jesteś
mógłbyś co najwyżej pracować w cyrku
właśnie wyszedł z ciebie aktorzyzna

i sprzedawczyk

chciałeś oblaskawić stado ale stałeś się jednym
z nich
wilków z przywódcą którym ty nigdy nie

będziesz
a może to raczej wilki szczwane w lisiej skórze
dostaniesz z ich ciemnych łap przydział dopóki
tańczyć nie przestaniesz zgodnie z wyborem
kiedy wracałeś po skończonej inicjacji
cały zwierzyniec mówił tylko o tym jak
cuchnąłeś na odległość brudnym interesem grą

myślałeś że w scrabble a to były poważne
rozmowy

o stawkę wyższą niż twój własny los i nikt
nie zatroszczy się kiedy nie będziesz już

potrzebny
odwróciłeś swoją przyszłość razem z ostatnim
bastionem tracąc naszą wiarę w jego strażnika
resztki wiarygodności sponiewierałeś przed

hucpq
tamtych nie dorosteś do niczego a i tak jesteś

bankrutem bo morale mieści się teraz
w zaciśniętej łapie
na twoim gardle i w zadowolonych
zmrzużonych drwinach
oczach uśmiechniętego jej właściciela

Doskonale ów tom podsumował jego Redaktor i Wydawca oraz tym razem nawet Autor wstępu do tomu – doskonale Wam znany Andrzej Dębowski, redaktor naczelny „Gazety Kulturalnej”: „W najnowszym tomie Anna Andrych mówi głosem dojrzałym, świadomym – pełnym ciszy, ale i wewnętrznej siły. Jej poezja wciąga w przestrzeń głębokiej refleksji (...). Owszem – bardzo głębokiej, aby nie rzec najgłębszej. Smutna to jednak refleksja i bolesna. Ja poetka niosę skargę. Czy wniesienie skargi może coś bądź kogoś ocalić? Wierzę, że może, że bez tego wnoszenia czeka nas długa agonía i coraz smutniejszy koniec. Wnosząc skargę dajemy sobie i innym szansę. Na co? Na opamiętanie. Choć my mamy pisać wiersze, opisywać ten świat, pytać i błdzić.

Sursum corda Czytelniku. Być może właśnie dlatego, że Poetka wniosła skargę ...

Andrzej Walter

Anna Andrych, *Wychodzę na brzeg*. Redakcja, słowo wstępne, projekt okładki i zdjęcie na I stronie okładki: Andrzej Dębowski. Zdjęcie autorki na IV stronie okładki: z archiwum autorki. Wydawca: Wydawnictwo Autorskie Andrzej Dębowski, Żelów 2025, s. 82.



Rys. Barbara Medajská

Adam Lizakowski

Czy poeta Czesław Miłosz był kosmitą?

(7)



Fot. Andrzej Dębkowski

Lista osób, Amerykanów, których zaangażował w sprawę polskiej literatury jest długa, a poetów i pisarzy polskich, których przekładał na język angielski, jest jeszcze dłuższa. Nie mam zamiaru podawać nazwisk tłumaczy czy tytułów książek, które dzięki Miłoszowi ukazały się w języku angielskim. Chwała mu za to, za jego cierpienie z powodu braku miłości i miłość do języka polskiego. Wraz ze swoimi studentami pracował nad przekładami poezji i prozy polskiej. „Zakładał bazy kosmitów”, budował mosty z wierszy dla „obcych”, po których zapraszał do odwiedzenia jego planety. I tak powstają dwie bardzo ważne książki, dla wszystkich uczących się literatury, kultury polskiej w anglojęzycznym świecie: antologia wierszy polskich, wydana w 1965 (*Postwar Polish Poetry. An anthology*) oraz historia literatury polskiej z 1969 roku (*The History of Polish Literature*).

Ten kosmita, tytan pracy, potrafił wyłączyć się ze studencko-wietnamskiej burzy, tkwił w niej na tyle, ile musiał, w każdej chwili był gotowy „przejsć” do swojego świata i znaleźć spokojne miejsce, „szalonej pracy” w lesie dla kultury polskiej, europejskiej. Drewniany domek na zadrzewionym stromym wzgórzu na „Kurzej Stopce” był jego arką, w której oczekiwał na spokojniejsze i lepsze czasy.

Biedni i emigranci wobec wojny w Wietnamie

Bogaci wysyłali swoich synów do Kanady, jeszcze bogatsi do Europy, aby tam studiowali lub byli przedstawicielami ich firm handlowych. W ten sposób chronili swoich synów przed powołaniem ich do wojska. Na wojnę szli najbiedniejsi, pochodzący z najniższych warstw społecznych, najczęściej synowie farmerów i robotników. Na wojnę szli również synowie i wnuki emigrantów, w tym również

tysiące Amerykanów polskiego pochodzenia. Wielu z nich odda życie za Amerykę, nazwiska ich znajdziemy na tablicach Vietnam Veterans Memorial Wall. Wielu przeżyje, będą weteranami wojny, otrzymają przywileje, będą pierwszymi, którzy otrzymają pracę, bezpłatne leczenie czy możliwość studiowania. Tylko niektórzy skorzystają i skończą studia, zdobędą zawód, a także podwyższą awans społeczny poprzez naukę. Wojsko w Ameryce (poza sportem) dla wielu emigrantów i rodowitych Amerykanów z klasy robotniczej, dołów społecznych, to trampolina do lepszego życia, daje szansę na wygodniejsze bytowanie, dobrze płatny zawód. Wojsko, armia amerykańska, zawsze potrzebuje chętnych, a hasło *I want you* (Potrzebuję cię) wciąż jest bardzo popularne i aktualne.

W San Francisco zaprzyjaźniłem się z wieloma weteranami, byli to Wietnamczycy z Sajgonu, żołnierze i taksówkarze, właściciele restauracji i burdeli, jacyś ciułacze, ciułający grosz do grosza, którzy chcieli dorobić się na wojnie i Amerykanach i razem z nimi uciekli po dojściu komunistów do władzy. Wielu z nich uczyło się języka angielskiego lub zawodu razem ze mną, wielu z nich przeszło przez obozy dla uchodźców w Azji, na wyspach filipińskich, zanim przybyli do Ameryki. Byli też amerykańscy Polacy i rodowici Amerykanie. Moim serdecznym przyjacielem był żołnierz – sanitariusz, hippis, Richard Rehl, (załatwił mi dobrze płatną pracę, wprowadził w świat Tai chi, a gdy poszedłem na studia dziennikarskie na City College of San Francisco, pomagał mi odrabiać lekcje). Po powrocie z Wietnamu, na koszt państwa skończył jakiś trzecioklasowy college medycyny dalekowschodniej, ale chyba nigdy w swoim zawodzie nie pracował. Z czasem stał się tłumaczem mojej poezji na angielski, był synem polskiego żołnierza kampanii wrześniowej, który przybył do Nowego Jorku na początku lat pięćdziesiątych z Niemiec. Polskie nazwisko zmienił na angielskie, aby mieć łatwiejsze życie w kraju *redneck* (obraźliwe określenie robotników rolnych). Richard pracował jako apartament manager przez wiele lat, ale do czasu, kiedy to pewna zamożna pani, wdowa po właścicielu osiemnastu sklepów spożywczych w rejonie San Francisco, mieszkanka jego apartamentowca, wynagrodziła go za to, że przez ostatnie lata jej życia zaopiekował się nią tak dobrze, że nie musiała iść do domu starców. Wdowa, obrażona na własną rodzinę, która się nią nie interesowała, zapisała mu pewną sumkę z „sześcioma kołami”, pod warunkiem, że kupi sobie kilka strzelb z długą lufą i coś ze swoim życiem zrobi. Zostawiła też w spadku dziesiątki złotych zegarków, diamentowych pierścionków, złotych bransoletek, naszyjników z prawdziwych pereł itd. Gdy się o swoje pieniądze upomniął urząd skarbowy USA, Richard szybko kupił jacht pełnomorski, kilka strzelb i pistoletów, skompletował załogę i powoli, bez pośpiechu, jak stary żółw, popłynął do Meksyku, Puerto Rico, zabawił kilka długich lat na Antylach i Karaibach, a gdy te wydały mu się mało ciekawe, popłynął dalej przez Kanał Panamski aż na Filipiny. Od wielu lat się do mnie nie odzywa, od znajomych słyszałem, że żyje gdzieś pomiędzy wyspami filipińskimi a

indonezyjskimi. Dokładnie gdzie, nikt nie wie, wysp jest tam tysiące.

Wśród rodowitych Amerykanów też miałem sporo przyjaciół, byłych żołnierzy tej wojny. Moim przyjacielem jest Neal M. Warren, był na wojnie w latach 1966/1967. Urodził się na Wschodnim Wybrzeżu w ubogiej rodzinie farmerów, szkoły żadnej nie skończył, w wieku 20 lat poszedł na wojnę. Od roku 1969 chorował na Post Traumatic Stress Disorder (zespół stresu pourazowego, zaburzenie stresowe pourazowe). Od 1969 do 1983 roku miał ośmiu, dziesięciu terapeutów, żaden z nich mu nie pomógł. Spotkałem go na jednym z wieczorów poezji w Hospitality House w San Francisco, zaczął pisać wiersze, interesować się poezją. Wtedy był włóczęgą wędrującym po całej Ameryce, zatrzymywał się na noclegi w przytułkach dla bezdomnych. Poezja była dla niego terapią – w przeciągu kilku lat wyleczył się, pisał przede wszystkim o wojnie i jej okrucieństwach, o tym, co przeżył, czego doświadczył. Razem w roku 1986 wydaliśmy tomik wierszy pt. *Anterom Poetry*, a niedawno w roku 2017 tom pt. *Old Songs*, wiersze po angielsku i niemiecku. Poezja pomogła mu lepiej niż terapia i lekarze, na koszt państwa wyuczył się zawodu, został informatykiem, pracował dla armii amerykańskiej w USA i w innych krajach świata. Młodość przygniotła go wojną i stresem, nędzą i depresją, ale na jesień życia ożenił się z młodą kobietą, Niemką, którą poznał podczas służby w Niemczech. Ta nie tylko została żoną, tłumaczką jego wierszy na angielski, ale była cudownym człowiekiem, dała mu ciepło i zrozumienie, radość życia i szczęście. Teraz ma dom, dwa wielkie psy wielkości cielaka każdy, kilka tysięcy dolarów emerytury. Żyć nie umierać, pisać wiersze.

Ale wracamy do Kalifornii, wojna w Wietnamie jeszcze bardziej pobudziła, inspirowała do twórczego życia. Zachodnie Wybrzeże Ameryki – które oprócz bitników i hippisów na dobre zadomowionych w miastach San Francisco, Los Angeles, San Diego – stało się wielką bazą wojskową. Ulice tych miast wypełniły się młodzieżą, idącą na wojnę i protestującą przeciwko wojnie. Takiej „gorączki”, takiego kłębowiska ludzkiego nie widziano tam od czasów odkrycia złota w XIX wieku. Powstały ugrupowania, o których nasz poeta, mówiąc ogólnie, wiedział, ale z żadnym z nich się nie identyfikował.

Antyimperialiści – uznający Stany Zjednoczone za agresywne mocarstwo prowadzące politykę imperialną przeciwko rewolucyjnemu Wietnamowi.

Dla nich nie było ważne, że Wietnam „wpadnie” w ręce komunizmu, który zniszczy, zabije, zada ból milionom niewinnych ludzi. Byli też pacyfiści – protestujący przeciwko wojnie jako takiej, stosujący w protestach taktykę *non violence* (bez przemocy) i nawołujący do natychmiastowego wycofania oddziałów amerykańskich, tych oskarżono o brak patriotyzmu. Wreszcie liberałowie, przedkładający nad wojnę tradycyjne formy politycznego nacisku i nawołujący do negocjacji pokojowych. Ich atutem w rękę było to, że Wietnamczycy właściwie nie wygrali żadnej bitwy z Amerykanami, ale wygrali całą wojnę.

cdn.

Tadeusz Karabowicz

Wiatry wiały

Wiatry wiały porywiste
a Odkupiciel patrzył na krę
płynącą na przełaj i ryby płynęły w topieli
wiosny
a brzegiem rzeki wędrowało moje zamyślenie
i modlitwa

jeżeli byliśmy świadkami tych wierszy
to odślaniała się prawda przedwieczna

błogosławione czajki
i biel śniegu na pustkowiu

Droga

Koleiny wyboiste między drzewami
ślady opon czy płozy sań
utrwalone w mojej pamięci

na drzewach lekki mrok
i trzepot sikorek
znak wiecznego pulsu serca

tak się zaczyna i kończy życie
ale czemu ślady niespodziewane
w poprzek drogi na przełaj

Na brzegu wiosny

mijają noce bezsenne
i żłobią przepastne koleiny jak podziemne
wody

wiatr przewiewa życie
i ściera pieczęcie z obłoków

nie pozostaje kropla deszczu po nawałnicy
wysuszona pragnieniem życia

powraca wierność i modlitwa
na bezsennym pustkowiu

noc cichnie w mocy nieistnienia
i świeci się w trawie jak rosa

wichry milkną
i chcą łąsić się do rzeki

która znowu płynie przez wieczność...

Trzeba wypraszać o łyk wody z dłoni

Trzeba prosić o łyk wody z dłoni
dla podkreślenia sensu życia
na rozdrożach czasu

trzeba spragnionymi ustami
błagać o kawałek chleba
by nie przepaść bez wieści

trzeba przykładąć ucho do ziemi
by słyszeć źródło z głębin
zapomniane w nabrzmiałej rozpacz

trzeba wierzyć w linie życia na dłoniach...

Paruzja

Płynęły wody wartkim strumieniem
to były wody życia
w ich srebrzystej toni odbijało się echo wycia
wilków
stojących nieruchomo
to była rzeka o dawnej nazwie
niezrozumiałej dla nas nagich
nakrytych kołdrą nocy

wiały wiatry i porywały liście klonów
co urosły wysokie na miejscu gdzie były
pradawne bory

obejmowały korzeniami
nasze ciała splątane na wieczność

płyńcie wody życia ponad wyznania miłosne
w srebrnym odmęcie czwartej straży nocnej
zatracone wschodem słońca

wieście wiatry porywiste
ponad naszym bezbronnym miastem
aż do Drugiego Przyjścia
to znaczy końca dziejów

Ikona

Ikona zapatrzona w wieczność
budziła przytulone do ziemi szkielety
policzkami
jak do poduszki

dawno nie było ciebie ze snu
już myślałem
że umarłaś

ale nie
istniejesz
wiatr powiewa nad tobą

jak dobrze że jesteś

Zapłata

Trzeba będzie zapłacić
za obłoki na niebie
co były stygmatem na wieczność

za słowa nieobecne
darowane w bezsenne noce
zapłatanie w kłębek

chcę wypłatać z obłoków
zapomnienie

słowa zmieniają sens i bywają nieobecne

choć życie płonie jak kometa

choć z chmur wytkana nitka
omija noc i woła poza wieczność

będę przebierał w dłoniach
paciorki różańca
oświetlone słońcem na wietrze

będę czekał na brzegu rzeki
przytulony do snu jak do poduszki...

Rzeka

Rzeka o której myślę
płynęła przez sianokosy
wezbrana po ulewnych deszczach

jej ciepłe serce skrywało żabie rechoty
i pulsujące mgły
podobne do hyzopu

to był nurt nieokiełznany
jak krew
metaforycznie nawarstwiony bielą

nigdy bym nie pomyślał
że będzie mnie znośił
na skraj łąki
rozebranej do naga

w stronę wybryków dziecinnych i wieczności

Znowu powraca poezja

Znowu w bezsenne noce powraca Poezja
w niewidzialny sposób dedykowana światłu
w oknach

znowu noce bezsenne są darem
a nie udręką

strzeżcie Poezji gdziekolwiek jesteście
obnażeni z szat na Sądzie Ostatecznym

zagubieni w nicości naiwnego myślenia
że życie trwa wiecznie
i nie przemija

nadzy wobec rozpacz i wojny
która niweczy bramy i kruszy światło
w oknach

bądźcie w swojej tęsknocie za niebem
naiwni jak siedmiu młodzieńców z Efezu

których w drodze zastała
bezdenna przepaść



Grzegorz Bazylak

Ciesz nas ubogacanych w XXI wieku

Płonące od rana w hiszpańskich portach świeżo odremontowane jachty miliarderów znad East River i katamarany milionerów zza Buga martwe meduzy

dryfujące obok koników morskich w cuchnącym szlamie słonowodnej laguny Mar Menor wypłoszone pojedynczymi strzałami a potem seriami i salwami

ze strzelb i karabinów dostarczonych za morderczy kredyt z Fort Worth stada pędzących na oślep żubrów które dotąd spoczywały w bezruchu

na kapslach i puszkach po piwie wyrzuconych na piknikach pod strzelnicami przez obrońców unijnych granic ale nie pokoju w Strefie Gazy

czętkowane trzmiele i pszczoły samotnice krążące wokół żmijowców kobaltowo i lazurowo kwitnących w zaroślach Lasu Gdańskiego preferujące płciowy

dualizm latające w parach czarne ćmy i białe motyle które – ubiegając samice tygrysiich komarów i bojowe drony przed montażem – trzymają się

od nich z daleka jak i całej reszty tego wszystkiego co wkrótce zniknie zmiksowane po digitalizacji w jałowym obiegu super wydajnej produktywności

cyfrowych portfeli MAGA i budzących już tylko wstręt słów: *Liberté, Égalité, Fraternité ou la mort*

Wilda na wspak

Kominy unosiły się z dymem serdeczny palec ugryzł niemowlę nerka straciła jednożońca wierzchowce dosiadały swoich jeźdźców błakały się wokół nas ulice i miasta szpitale

wypisały się z umarłych parki wkraczały w jesień okna przyklejały się do twarzy powieki wkręcały się w każdy sen szyby uderzały w deszcz brzegi biły w morze

drzwi waliły w zaciśnięte pięści narracje streszczały się w przestrzeń przejściowe trudności gromadziły się amfiladowych pokojach i dobierały do luksusowych

rajstop przemoc znała tylko dzieci świt nie wstawał przed piekarzem rzeźnikiem piwowarem bo ktoś musi być zawsze tym najgorszym gdy inni stają się najlepszymi

Halloween

Przezroczyista mowa odbić kolorowy szalik w szkocką kratę który zastąpił czarny szal

pokryte złotem liście miłorzębów i niskich brzoźek w świetle zachodzącego słońca

brutalna gra w odbijanego od błękitnych ścian natrętne postukiwania w szare drzwi przerywany dźwięk z pogrążonego w apatii domofonu nagłe i ulotne gitarowe solówki

jak okrzyk mowy przeszukującej nieznany teren oczy w kroplach żywicy czekoladowe plamki na języku skóry przeciętego motyka leszczynowego ślepcy naocznego świadka

wyciągania ofiary z łóżek spod kory ściółki kamieni tych wszystkich którzy nie wierzą że groby poetów także umierają a potem śpiewają jak wampiria w jazzowych

solówkach niewidomego od urodzenia pianisty Tete Montoliu i wariacjach jego przyjaciela Jordi Sabatés Navarro

Ślepa plamka

Na szpanerskich peryferiach w mieście muzyki za garażami z falistej blachy gdzie nie wiadomo dokąd zmierzamy ale kierunek jazdy wydaje się oczywisty powstał mini kartingowy tor po którym

zamiast wyścigowych bolidów i spuszczonej ze smyczy psów krążą gwiazdy tak jak powinno być w przekonaniu Zbigniewa Herberta w narzuconej nam opozycji indywiduum i podmiotu jak ślepe

plamki w których ogień trawi sam siebie ale nie wszystko co staje im na drodze puszczone wolno z dymem trzymanych w ustach waporyzatorów które dają paliwo wiszącym przy laptopie zamiast

kluczy i kodów dostępu do rzadkich pierwiastków w człowieku objętym sankcjami za niewinność jedzącego piasek popijany wodą byle się nie dać złamać widzialnemu i przemijającemu co tkwi

bez celu w jednym kręgu żyjących i nieżywych

Trzecia droga

Skąd oni tutaj przychodzą ze zbłąkanych pacierzy niebieskich ścian czy to oni wjeżdżają w zakręty od kasztanowej alejki obok altany z kontenerami pełnymi oskórowanych zwłok saren kun i zajęcy

czy wychodzą spod zgniecionych kartonów jak atrament z przywiedlonych kapeluszy czernidłaka zza metalizowanych drzwi z judaszem przez który widać otwierającą się windę i uwolnione z niej

stado jerzyków kołujących nad koronami drzew czy podchodzą do ciebie nocą solo albo w parach srebrzyste kremowe czerwone pochylają się nad tobą jednym z milionów *deplorables* na chwilę

bezczelnie dobierają się do gardła wskakują na piersi szukają natarczywie dojsca do ust języka aż obudzisz się widząc zakutego w dyby poetę na zawalonym błotem rynku w Carcassonne – ?

Dariusz Pawlicki

Nieco krytycznie o hierarchii w kulturze, ale i o jej niezbędności

[...] kultura jest produktem oceny. Swoje za-
bytki i trwałe style kultura zawdzięcza nieu-
stannym porównaniom i wyborom, z których
wyłania się kanon arcydzieł – nie jako efekt
jednej kolektywnej decyzji czy decyzji podej-
mowanej od nowa przez każde pokolenie, lecz
jako skutek uboczny niezliczonych wyborów
dokonywanych w ciągu stuleci.

Roger Scruton, *Kultura jest ważna*

I

Potrzeba napisania eseju na temat, któ-
rego bardzo skondensowanym streszcze-
niem jest powyższy tytuł, tkwiła we mnie od
dawna. I od czasu, jak we mnie utkwiła (nie
wiem jednak, kiedy konkretnie to nastąpiło)
wolno, bardzo powoli kiełkowała. Aż nagle
rozkwitła. Sprawiało to *Przedmowa do wyda-
nia niemieckiego dzieła* pokątnych rozmia-
rów zatytułowanego *Saturn i melancholia*.
*Studia z historii, filozofii, przyrody, medycyny,
religii oraz sztuki*. Otóż natknąłem się w niej
na następujący fragment odnoszący się do
często publikowanego miedziorytu Al-
brechta Dürera *Melancholia I*:

„Historia interpretacji dzieła Dürera rozpo-
czyną się od współczesnego artysty Joachima
Camerariususa. Po Camerariusie był w XVI wieku
Vasari, a w wieku XVIII Heinrich Conrad Arend,
pastor w Goslar, oraz Carus i inni romantycy,
którzy rozumieli *Melencolia I* jako przedstawi-
enie człowieka faustycznego. Swoją interpreta-
cję Dürerowskiego dzieła przedłożyli między
innymi pisarz Victor Hugo, historycy sztuki
Charles Blanc i Ruskin, miłośnik sztuki Oliver
Wendell Holmes oraz malarz Odilon Redon.
Współcześnie mnożą się wykładnie uczonych.
Historia interpretacji *Melencolia I* wydaje się in-
teresująca, ponieważ pokazuje, jak różnie
można zrozumieć jedno i to samo dzieło. Dla-
tego mogłaby się stać paradygmatem krytyki
sztuki w ogóle”.

Właśnie, paradygmatem...

Przykładem tego, jak mogą zmieniać się
opinie na temat dzieł kultury, i to diametral-
nie, jest, przywoływany zresztą wielokrot-
nie, Vincent van Gogh; za swego życia (nie
nazbyt długiego, to fakt) sprzedał tylko je-
den obraz – zabrakło kogoś współczesnego
jemu, o donośnym (nie tylko w przenośni)
głosie, kto np. zawołałby: Van Gogh, to ge-
nius, a jego obrazy są arcydziełami! Za-
chwycajcie się nimi, jeśli wiecie, czym jest
piękno. I jeśli tylko stać was na to, kupujcie
je! Kupujcie teraz, później nie będzie was na
nie już stać!

W przypadku autora m. in. *Stoneczników*,
pojawiała się nie jedna, ale dwie takie osoby:
Johanna van Gogh-Bonger i Helene Kröller-
Müller. W wyniku czego, po kilkudziesięciu
latach, za jego prace zaczęto płać ogromne
sumy. I płaci się coraz więcej (rzecz jasna
prędzej czy później dojdzie do sytuacji, gdy
większych kwot już się nie uzyska; wtedy
ceny zaczną spadać). Owe sumy zresztą nijak
mają się do sztuki Goghawianów czy obra-
zów innych sławnych malarzy. Są jedynie ich
pieniężnym zamiennikiem/odpowiedni-
kiem, czyli czymś bardzo umownym.



Melancholia I, Albrecht Dürer

Pojawienie się Kogoś, kto stwierdzi, że
Coś jest wspaniałe, i będzie miał Coś kon-
kretnego do powiedzenia na temat owej
wspaniałości, a także sprawi, że owa opinia
dotrze do jak najszerszego grona odbiorców,
jest więc niezbędne. Ten Ktoś może bowiem
stać się przewodnikiem stada. A w stadzie
przewodnik jest najważniejszy. Za nim podą-
żają inni/inne. Odnosi się to w tym samym
stopniu do owiec, jak i do ogromnej większo-
ści ludzi. I dotyczy w takim samym zakresie
np. literatury, rozmaitych sztuk, jak i poli-
tyki, ekonomii.

Oczywistością (chyba) jest stwierdzenie,
że każda epoka przejawia charakterystyczne
dla siebie gusta odnośnie sztuki, muzyki, li-
teratury (jest to estetyczny relatywizm od-
noszący się do rozmaitych rodzajów twór-
czości). Formułując więc opinię na temat,
przykładowo, jakiegoś utworu literackiego,
niezgodną z aktualnie dominującą lub wręcz

obowiązującą oceną, można być zwiastunem
poglądu, który będzie obowiązujący w nad-
chodzącej epoce, ale równie dobrze – pozo-
stać niezauważonym. Ową nieprzewidywal-
ność, co do akceptacji bądź odrzucenia ocen
można by przyjąć za coś jak najbardziej oczy-
wistego, normalnego, gdyby równocześnie
nie miało się do czynienia z ocenami ponad-
pokowymi, wydającymi się być niezmiennymi
(nie wiadomo jednak czy wiecznymi),
co najwyżej niepodzielanymi przez inne
kręgi kulturowe. Rzecz jasna nie raz docho-
dziło do tego, że ludzkość – oczywiście ta jej
część zainteresowana tymi kwestiami –
część tych wielkości traciła z pola widzenia.
I to nie wyłącznie wtedy, gdy dochodziło do
upadku takiej czy innej cywilizacji. Ale często
z powodów, które można by nazwać proza-
icznymi. Przykładem tego drugiego może
być Johannes Vermeer; ceniony za życia, lecz
rychło po śmierci zapomniany. Niewielka
liczba obrazów przez niego namalowanych
(autorstwo niektórych spośród nich jest,
mniej bądź bardziej, problematyczne), naj-
częściej nie podpisanych, rozplynęła się po
zbiorach prywatnych. I choćby z tego po-
wodu nie była znana osobom tworzącym
ówczesne listy malarskich wielkości. To zaś
sprawiło, że Vermeer pograżył się w malar-
skim niebycie. I dopiero po około 180 latach
wydobył go z niego jeden człowiek. A miano-
wicie Étienne-Joseph-Théophile Thoré, pisu-
jący pod pseudonimem Wilhelm Bürger. I
odtąd obrazy wspomnianego Holendra są
przedmiotem westchnień bardzo wielu
osób. Nie mam jednak wątpliwości, co do, że
nawet, gdyby Vermeer nie znajdował się ni-
gdy we wspomnianym niebycie, to jeśli ten
czy ów przewodnik stada nie zwróciłby
uwagi na jego prace, członkowie stada by się
nimi nie zachwycali. Mało tego, nie zwraca-
liby na nie uwagi.

Wiele jest przykładów na to, że co epoka
literacka czy malarska, to inna ocena warto-
ści tego samego, konkretnego dzieła. Czy wo-
bec tego nie jest to wystarczającym powo-
dem, aby sformułować następującą tezę: je-
żeli punkt widzenia zależy od epoki, to czy
każdy człowiek nie ma prawa formułować
swej opinii na temat takiego czy innego
utworu literackiego, muzycznego bądź pracy
plastycznej, niezależnie od tego, co na ten
temat mówiły/mówią czynniki opiniotwórcze,
owi przewodnicy stad? Na to pytanie udzie-
lić odpowiedzi może każdy (ja uczynię to w
dalszej części niniejszego eseju).

Nie stawiam znaku zapytania odnośnie
sensu pisanie recenzji (te zaś służą budowa-
niu hierarchii w kulturze), gdyż piszący je
mogą po prostu czuć taką potrzebę, choćby

ze względów finansowych. Nie jest też moim celem dyskredytować np. historię literatury. Wskazywanie na to, kto miał wpływ na kogo, na nadzwyczajną żywotność pewnych toposów, charakteryzowanie i nazywanie szkół pisarskich, prądów literackich, może być interesujące i mieć znaczenie. Zwracam jednak uwagę na użyte w poprzednim zdaniu słowo „może”.

Byłoby dobrze, gdyby ci, którzy czytają recenzje, i traktują je, jako rodzaj pomocy przy wyborze np. książki, nie poprzestawali na jednej. Zresztą najlepiej byłoby, gdyby zaznajomili się z samym utworem! Tak jednak dzieje się rzadko. Najczęściej odbiorcy, tych czy innych wytworów kultury, poprzestają na recenzjach na ich temat. A te z reguły są krótkie i nie mają postaci pogłębionej krytycznej oceny. Kiedy jest ona pozytywna może dojść do kupienia, albo pożyczenia książki, pójścia na wystawę itd. Choć oczywiście zdarzają się i tacy, którzy postąpią na przekór. Lecz gdy pozna się tekst/utwór, a także to, co napisano na jego temat, najczęściej, niestety, oceny opinie dostępane w rozmaitych mediach, zaczynają pełnić funkcję poglądów własnych. Dzieje się tak, chociażby, dlatego, że tak jest... łatwiej. Nie trzeba poświęcać czasu, i nie tylko jego, na zdefiniowanie, choćby szkicowe, indywidualnej oceny. Niejednokrotnie w grę wchodzi też chęć uniknięcia ośmieszenia się, szczególnie, gdy brakuje wiary w siebie. To w takich sytuacjach często przytacza się poglądy recenzentów, owych przewodników. Stworzona zostaje w ten sposób okazja do wykazania się, jeśli nie znajomością samego dzieła, to, choćby, głośnych przemyśleń na jego temat; do pokazania przy okazji, że jest się na bieżąco z giełdą recenzentką. Zwłaszcza, gdy owe przemyślenia są błyskotliwe, albo, mniej bądź bardziej, kontrowersyjne. Lecz może pojawić się wówczas pokusa do zaprezentowania jakiejś opinii, jako własnej. (Chlubnym wyjątkiem, jeśli chodzi o formułowanie własnych opinii, są „oglądacze” filmów. Oni są zdecydowanie bardziej skłonni do formułowania indywidualnych ocen. Może wynika to z tego, że film jako młoda, w porównaniu np. z literaturą, dziedzina kultury, nie obrósł ogromem wiedzy. Nie jest też traktowany, aż tak bardzo poważnie.)

Ale z poprzestawianiem na zaznajamianiu się z owymi cudzymi myślami, jak też przyjmowaniem ich za własne, w najlepszym razie ich interpretowaniem, wiąże się bardzo poważne niebezpieczeństwo. Polega ono na braku potrzeby formułowania indywidualnych ocen, przedstawiania stojących za nimi racji. Także na tym, że nie ma miejsca na uczenie się krytycznego/samodzielnego myślenia, albo, że wprost przeciwnie – następuje jego oduczanie (się)! Na dodatek istniejące gotowe interpretacje/omówienia utworów niejednokrotnie usypiają wrażliwość czytelników (podobnie rzecz ma się z miłośnikami malarstwa, muzyki itd.). Jakby mało było tego, uważam, że krytyka literacka (jeszcze się wzdragam, aby napisać: wszelka) najczęściej zagaduje literaturę. Sprawia, że nie jest ona „widoczna” z za-

sterty tekstów, jakie na jej temat napisano. Do tego jest wręcz pasożytem, żeruje na niej. Nie może bowiem istnieć bez literatury. Natomiast odwrotna sytuacja jest jak najbardziej możliwa. Mało tego, mając na uwadze wymowę mego eseju, uważam, że jest wręcz wskazana.

Wspomniany powyżej proces, Susan Sontag, krótko i, moim zdaniem, niezwykle trafnie, a zarazem obrazowo, tak oto przedstawiła w *Dziennikach*:

„Czytanie recenzji zapycha kanały, przez które napływają nowe idee. To kulturalny cholesterol”.

Gdy własne opinie na temat jakiegoś dzieła/zdarzenia kulturalnego stoją w jasnej sprzeczności z poglądami wyrażanymi przez osoby reprezentujące środowiska opiniotwórcze, może to pogłębiać niewiarę we własny osąd/smak. Ale chęć/potrzeba wyartykułowania indywidualnego zdania, a w razie konieczności bronięcia jego, jest wyrazem samodzielności, niezgody na bycie owcą. Choćby dlatego, że w każdym człowieku, bez względu na wykształcenie, pozycję społeczną, daje o sobie znać, a przynajmniej „drzemie”, poczucie piękna (jestem o tym przekonany). Potrzeba jego obecności w bliższym i dalszym otoczeniu należy do powszechnie odczuwanych przez ludzi potrzeb (do tych innych należy m. in. sprawiedliwość). Lecz poczucie wartości/ważności własnych przekonań w tym zakresie, nie rozbudzi się, a potem nie rozwinie, gdy nie będzie okazji do zaprezentowania, choćby tylko drugiemu człowiekowi, własnych racji. I to niesprawdzających się do, prawie nic niemówiących, jednozdaniowych sformułowań, w rodzaju: To jest piękne/To jest brzydkie/To jest interesujące.

Jeśli chodzi o krytykę, to wystawianie w recenzjach bądź obszerniejszych opracowaniach swoistych ocen, to jedno. Czym innym, ale niezwykle ważnym, jest to, co wspomniana Susan Sontag zawarła w poniższym zdaniu pochodzącym z eseju o znanym tytule *Przeciw interpretacji*:

„Od dziesięcioleci krytycy literaccy uważają, że ich rola polega na przełożeniu danego fragmentu wiersza, dramatu, powieści czy opowiadania na coś innego”.

Tak więc, ci którzy owych dzieł nie potrafili stworzyć, jednocześnie mają tyle tupetu, że reszcie ludzkości wmawiają, że tylko oni w pełni pojęli idee w nich zawarte. Normalni, że tak ich nazwę, czytelnicy nigdy nie są tak zarozumiali. W eseju *O czytaniu* Wystan H. Auden na temat krytyków tak napisał:

„Jeden Pan Bóg wie, jak głupi bywają pisarze, lecz nie zawsze są oni tak głupi, jak przypuszcza pewna kategoria krytyków. Mam na myśli tych krytyków, którzy ganiąc jakieś dzieło czy fragment, nie dopuszczają nawet takiej

możliwości, że autor wiedział dokładnie, co chciał powiedzieć”.

W tym, co powyżej napisałem o krytyce i krytykach, zawarłem jedynie poważne wątpliwości, co do ich roli, znaczenia. Także cytaty, które wykorzystałem, temu miały służyć. Ale George Steiner w eseju *Wtórne miasto*, w którym zastanawia się nad tym czy literatura, muzyka, sztuka mogłyby rozwijać się, wręcz istnieć, gdyby nie towarzyszyły im krytyka, ocena, interpretacja, zawarł Coś więcej niż (moje) powątpiewanie. Napisał bowiem i takie zdania:

„Nie przetrwa żadna bezmyślna literatura, sztuka lub muzyka. Twór estetyczny jest w najwyższym stopniu inteligentny. [...] Brzmi to okrutnie, lecz zdaje się, że krytyka ma wartość wtedy jedynie, gdy mistrzostwo odpowiadającej formy jest porównywalne ze swoim przedmiotem”.

To fakt, że we *Wtórnych miastach* nie padają jednoznaczne oceny w rodzaju: krytyka jest stratą czasu/jest uzurpacją/nie ma sensu! itd. Niemniej istotne wątpliwości towarzyszące mi przed przeczytaniem tekstu Steinera, zostały za jego sprawą jeszcze pogłębione. Ich tropem będę więc podążał dalej.

Gdyby w ocenianiu np. utworu literackiego czy to beletrystycznego, czy eseistycznego, więcej było kryteriów mających, choćby, znamiona obiektywności – więcej niż np. poprawność językowa. Ale i ona jest współcześnie niejednokrotnie pomijana w imię inwencji twórczej – można by mówić o pozytywnej/twórczej roli krytyki. Skoro jednak tych kryteriów obiektywnych jest tak niewiele (może nie ma ich wcale?), a w budowaniu hierarchii na potrzeby teraźniejszości główną rolę odgrywają czynniki subiektywne, często wręcz pozaliterackie w postaci, chociażby, interesów wydawców (przykładem są recenzje z obstalunku), związków towarzyskich (działanie np. na zasadzie: dziś ja o Tobie pozytywnie, a Ty o mnie jutro), to może najwyższy czas zacząć zwracać znacznie mniejszą niż dotąd uwagę na recenzje i recenzentów? Moim zdaniem - najwyższa czas! Z tym, że równocześnie wskazane byłoby uczynienie kolejnego znaczącego kroku. Ale o nim będzie mowa w części następnej.

II

Wśród wielu współczesnych środowisk funkcjonuje pogląd, że zjawiska związane z kulturą nie powinny podlegać ocenom wartościującym. Ich zdaniem wszystkie owe zjawiska zasługują na uwagę i każde z nich jest ważne. To dlatego, że, jak twierdzą wyznawcy tych poglądów, nie sposób dokonać takowych ocen... obiektywnie (o trudnościach w tym względzie, kilkakrotnie była mowa powyżej).

(Dokończenie na stronie 10)

Nieco krytycznie o hierarchii w kulturze, ale i o jej niezbędności

(Dokończenie ze strony 9)

A obowiązujący ciągle kanon, np. w stosunku do pojęcia piękna, uważają za wynikający wyłącznie z tradycji. Dlatego są zdania, że o tradycji należy zapomnieć. Natomiast w grę powinien wchodzić wyłącznie subiektywizm w najczystszej postaci. Przedstawiciele owych środowisk będą z całym przekonaniem dowodzić, przykładowo, że instalacja, jaka bądź, ale chociażby w postaci brył lodu powoli się roztopiających, uzupełniona prelekcją wyjaśniającą symbolikę kryjącą się za tym „wydarzeniem”, wnosi w duchowość człowieka ten sam (przynajmniej) wkład, co *Dawid* wyrzeźbiony przez Michała Anioła (kryterium piękna w wypadku owych brył zamarniętej wody zostanie przeze mnie dyskretnie przemilczane). Będą wyrażać słowa uznania dla nowatorstwa zaprezentowanego przez Johna Cage’a w *Krajobrazie urojonym nr 4*. Ten „utwór muzyczny” został napisany na 12 radioodbiorników włączanych w ściśle określonych przez autora momentach. To, co słyszą słuchacze każdorazowo uzależnione jest od dnia, godziny i rozgłośni. Według więc wspomnianego „kryterium” wartość muzyczna owego „dzieła” Cage’a jest równie istotna, jak, chociażby, *Mesjasza* Georga Friedricha Händla, dzieła od przeszło dwóch i pół wieku współtworzącego wspólnotę ducha.

III

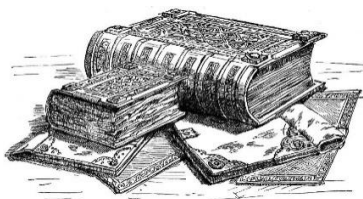
Wyraziłem wcześniej słowa krytyczne pod adresem krytyki, lecz muszę w tym momencie zauważyć, że jestem jednak świadomy tego, że w znacznym stopniu to właśnie ona służyła i służy budowaniu hierarchii w ogólnie pojętej kulturze. To znaczy, wskazywaniu dokonań bardziej i mniej istotnych, jak też bezwartościowych, dla rozwoju literatury, muzyki, plastyki itp. (dokonania w dziedzinie techniki, nauki są czymś innym. Choć hierarchie i w ich przypadku, lecz nie tak spektakularnie, ulegają zmianom). Jak więc połączyć krytykowaną, nie tylko przeze mnie, krytykę – w tej postaci, z którą mamy niestety do czynienia – z budowaniem hierarchii uważanej przeze mnie za nieodzowną? Tym łącznikiem może być, a mówiąc zdecydowanie – winien być... odbiorca tego czy innego przejawu/wykritu/emanacji kultury. Nie kto inny, ale właśnie On. Lecz od razu zaznaczę: nie każdy! Jedynie ten, który nie boi się (dosłownie) podejść

krytycznie bądź entuzjastycznie do usłyszanego, obejrzanego, przeczytanego dzieła. Także taki, który, gdy będzie odczuwał taką potrzebę, przeczyta recenzję, ale przeczyta je krytycznie; nie traktując zawartych w nich treści, jako prawdy objawionej. Będzie więc konfrontował poglądy recenzentów z własnymi. A zaprezentuje je także wtedy, mało tego – szczególnie wtedy, gdy będą one sprzeczne z dominującymi opiniami; zwłaszcza, gdy stać będą za nimi środowiska opiniotwórcze i wpływowe. Ale, co ważne, operując argumentami na rzecz prezentowanego przez siebie poglądu, równocześnie pozostanie otwarty na argumenty drugiej strony. A w związku z tym nie będzie, z założenia, odrzucał możliwości zostania przekonanym do racji wcześniej niepodzielanych przez siebie.

Odbiorca kultury, jakiego mam na myśli, a którego pokrótce scharakteryzowałem powyżej, istnieje, jest jednak bardzo nielicznym zjawiskiem. I na tym polega problem!

Gdyby jednak ta sytuacja się zmieniła, a o tym marzę, hierarchia w literaturze, podobnie jak w muzyce, sztuce, filmie, uniezależniona od osób będących dotychczasowymi przewodnikami stał, tworzyłaby się w rezultacie wzajemnych oddziaływań między utworami, to znaczy między ich autorami, ale na oczach widzów, którą tworzyliby odbiorcy będący rodzajem sędziów. Wspomniane oddziaływania miałyby postać, bezpośrednich bądź pośrednich, odniesień do konkretnych tekstów; zapożyczeń z nich, to znaczy np. rozwijania tematów i wątków, polemizowania bądź dostarczania kolejnych argumentów na rzecz stawianych tez, posługiwania się cytatami, wykorzystywania imion bądź nazwisk postaci funkcjonujących w historii literatury, jako odwołań do konkretnych postaw/zachowań, systemów wartości. Pisząc o idealnym odbiorcy kultury, mam na myśli nade wszystko odbiorcę samodzielnego. Takiego, który za sprawą efektów tych swoich przemyśleń, bierze udział w tworzeniu hierarchii dzieł i twórców w obrębie różnych dziedzin kultury. Uczestniczy w tym procesie obok ludzi, którzy, z racji posiadanych narzędzi, jak też wiedzy, choćby naukowców, redaktorów, także krytyków zawodowych, czynili to dotąd. Bo to oni śledzą powstawanie, rozwój i obumieranie szkół, kierunków; wpływy jednych twórców na drugich, oddziaływanie rozmaitych „izmów” na siebie i powstawanie kolejnych kierunków itd. Owego wymarzonego przeze mnie odbiorcę, mającego dopiero zaistnieć w zdecydowanie większej liczbie, nazywam: Nadodbiorcą. I nie ukrywam, że pokładam w nim wielkie nadzieje.

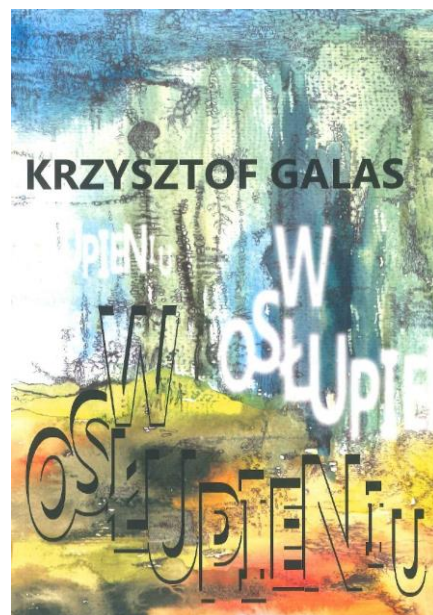
Dariusz Pawlicki



Moja żona zamartwia się...

Tytułowy cytat nieomylnie zbliża nas, spoufala z twórczością poety. Wszechstronny twórca obdarzył nas kolejną książką, tym razem poetycką. I znowu, jak przy lekturze poprzednich pozycji tego autora, uwodzi nas ciepło i bliskość pióra, nieomylnie trafiającego w najbardziej intymne odczucia czytelnika, pióra nie unikającego przecież i podstawowych, współczesnych pytań odnoszących się tak do losu jednostki, jak i prób diagnozy odpowiedzi na podstawowe pytania przed którymi stoi współczesny Homo Sapiens, Homo Faber...

Nie bez uzasadnienia w pierwszym wierszu omawianej tu książki, pojawia się motyw platoński. Znajdziemy Platona i w innych tekstach *W osłupieniu*, jak wyznaczenie, akt nadziei... Twórczość **Krzysztofa Galasa** sięga chętnie po tzw. „szerokiego czytelnika”. Temu obszarowi odbiorców służy też i działalność Krzysztofa w zakresie kompozycji, aranżu i wykonawstwa piosenek poetyckich wespół z żoną – Aliną, w duecie „Uzależnieni od marzeń”. Krzysztof Galas jest autorem ponad 100 piosenek.



W poprzednich swych książkach Galas nie szczędził nam relacji tak poetyckich, jak i prozatorskich związanych z obrazem, który można by określić jako „świat kobiet”.

„W osłupieniu” czytamy:

*Dziewczyny o słodkich ustach
zdumione mieszkającym we mnie strachem
niecierpliwie czytują sny z mojej głowy
Wysokie obcasy stukają w drodze*
niedomówień
powraca jak bumerang tęsknota

Ale są i „Kobiety z Donbasu” jest i tytułowy cykl pt. „W osłupieniu”, zaskakujący

czytelnika obrazami tzw. płatnej miłości, sylwetkami kobiet poniżonych, biednych, sytuacjami, w których „Bezradność toczy łzę...” i bohaterka tekstu jest „zmęczona i głodna”. Podeptane piękno budzi protest i ostrzeżenie – „Dojrzewasz do wielkiej przegranej”. Jednakże te obrazy, postulaty jak wyjęte z poetywistycznych apel i prób naprawy, stanowią jednak (na szczęście) margines tekstu, w którym zadziwia, uwodzi nas kobiece piękno, tajemnica psychiki i cały tzw. „świat kobiet”... Panie są w tych wierszach, na szczęście, piękne, zaskakujące i pełne tajemnic. Często-kroć autor i jego czytelnik stają oniemieli wobec...

*Czasami trzeba poczekać
wymknąć się zmęczeniu
kochać i cierpieć
bać się ale wierzyć
żeby nie przegapić mądrości co przychodzi
mimo woli („Motyl”)*

To niezwykle pogłębienie problematyki. Jak w naukach Ojców Kościoła mądrość zostaje utożsamiana z Miłością. Objawienia, epifanie, zrozumienie siebie, bliźniego i świata, dozna ten kto zapala Miłością do Boga, Bo jak w swym hymnie pisze św. Paweł - „Miłość jest największa”. Kończąc cytowany wiersz pt. „Motyl” Krzysztof Galas pisze o mądrości „co przychodzi mimo woli”, jest więc jak Zbawienie, aktem Łaski. Tak jak w pismach Lutra „sola Gratia” („tylko Łaska”) niezależnie od starań i zasług człowieka.

Pięknie napisany dyptyk „Słuchanie miłości” utożsamia uczucie z muzyką, która ocala, uzdrowia, otwiera nowe światy...

*Oczyszcza mnie muzyka gitarowa
wprawia ciało w drżenie
uskrzydla zgarbiona starość / ...*

*Prawdziwej miłości nie wypatrzą oczy
czują jej melodię w sobie („Motyl”)*

Ale świat tylko w niektórych swych odsłonach jest przyjazny.

*Coraz trudniej iść najprostszą drogą
obserwowany świat usypia czujność
okrada z resztek dobrej woli
wiedza pojawia się jak widmo
(„Wstrzymuje oddech”)*

Ten wiersz kończy bezbronna, otwarta pointa – *Moja żona zamartwia się / pada deszcz, dalej poeta zapisał „nie ma dobrych wiadomości (z „Roku na rok”), pada i bezbronne pytanie „Jak być człowiekiem?”*

Rzeczywistość okazuje się okrutna „niezgrabnie się jąka”, staje się anonimowa, nieprzyjazna. Nawet samotność stygnie...

*na skraju lasu ktoś krzyczy
stygnie samotność
i ziębi palce (** Nie mogę...)*

Autorskie i nasze nadzieje ocala piękny, liryczny cykl pt. „Jasność przebudzenia” dedykowany żonie, kreślony delikatnymi, pastelowymi barwami. Alinie – towarzysze życia, nie tylko podmiotowi tych wierszy, ale i

współpracownicy, współautorce muzycznych sukcesów śpiewającego duetu. Bo jak czytamy w wierszu „***Przyglądam się” *Pochłonięty uciekającą chwilą / ocalam wzruszającą teraz.*

Jerzy Grupiński

Krzysztof Galas, *W osłupieniu*. Korekta: Danuta Torno Gierszewska. Projekt okładki: Agnieszka Ograszko. Fotografia autora: Alina Galas. Wydawnictwo EDU-ART, Poznań 2024, s. 50.

Podróże koleją z Draganem Daniłowem

Dragan Jovanović Daniłow to znany – nie tylko w Serbii – autor wielu książek poetyckich, prozatorskich, jak i eseistycznych. Jest laureatem licznych nagród literackich zarówno w swoim kraju ale również we Włoszech, Stanach Zjednoczonych, Tunezji, czy Rumuni. Zbiory jego wierszy były tłumaczone na język angielski, niemiecki, francuski, włoski, grecki, bułgarski, słowacki, rumuński, macedoński i polski.

Akcja jego najnowszej powieści pt. *Zaśnieżone historie* toczy się w pociągu relacji Bar – Belgrad. Ociec głównego bohatera był kolejjarzem, a on sam od dzieciństwa uwielbiał jazdy tym środkiem komunikacji. Nie dziwi więc, że autor właśnie tam umiejscowił zasadniczą część akcji swego opowiadania. Rozpoczyna się ona w sylwestrowe popołudnie w Požedze, skąd bohater liryczny usiłuje dojechać do stolicy, aby tam pożegnać się z umierającym ojcem. Przedział jest jakby żywcem wzięty z turpistycznych opisów – epatuje szpetotą i brzydotą: „...obraz zimnego przedziału wcale nie jest różowy. Wygląda jak kiepskie wnętrza celi albo ciasny studencki pokój. (...) Wszystko emanuje wilgotnym chłodem piwnicy. Tłustych plam na musztardowo – złotych siedzeniach, pozostawionych przez tysiące pleców i pośladek nie da się niczym usunąć. Na źle uszczelnionych oknach, przez które wdziera się lodowaty powiew arktycznego chłodu, kołyszą się zakurzone strzępy firanek” (s. 8). – to właśnie w takiej scenerii przyjdzie spędzić bohaterowi powieści (a także Czytelnikom) czas podróży. Za oknem też nie jest optymistycznie – monotonna okolica, zasłonięta padającym śniegiem. Jednak nie to jest najważniejsze – to jest jedynie element budujący klimat tej historii.

Przedział pociągu staje się swoistym fotoplastykonem przez który przewijają się klisze rozmaitych postaci, tworzących swoisty przekrój społeczeństwa. Ludzie wysiadają na stacjach, ale w ich miejsce pojawiają się nowi, ubogacając jeszcze bardziej obraz

populacji mieszkańców kraju. Pojawiają się więc profesorowie, doktorzy medycyny, studentki, turyści, małoletni przestępca, który zbiegł z zakładu wychowawczego, chłopci, czy też zwykli prostytutki, tacy jak ten, który: wyjął z worka pieczoną świnie, wbił brzytwę w mózg, po czym naciął go, wypychając wszystko do rozwartej paszczy, gryząc uszy, oczy, język...”. Jest też miejsce dla tych, którzy – z różnych powodów – utracili dach nad głową i dla których pociąg staje się jedyną przestrzenią, w której mogą się odnaleźć. Każdy z nich przedstawia swoją historię, jakby nie było już więcej możliwości, w której może to uczynić. W pociągu, w otoczeniu nieznanymi ludzi czują się oni bezpiecznie, dlatego opowiadają o sobie albo o kimś, kim chcieliby być. A poza tym – jak kiedyś pisałem w jednym ze swoich wierszy – tyle jest stacji, na których można wysiąść...

Sytuacja się komplikuje, gdy pod pociąg rzuca się człowiek i ginie na oczach pasażerów. Wpadają w panikę, obawiając się, że z powodu wynikłego stąd opóźnienia mogą nie zdążyć na Sylwestra do Belgradu. Zwłaszcza, że przerwa się przedłuża, co u wielu osób budzi skrajne emocje – od agresji po załamanie. Niektórzy, zdesperowani, opuszczają pociąg aby szukać innego połączenia.

Przedział kolejowy jest przestrzenią opanowaną przez słowa; pada tu ich wiele, część z nich pozostaje w pamięci, zaś pozostałe wylatują w niebyt wraz z gwizdem lokomotywy. Słowa są ważne, bo mogą budować ale i burzyć ludzkie życie. Pozostawiają po sobie ślad, niczym odcisk linii papilarnych. Nasz protagonista wsłuchuje się w nie i analizuje, starając się dostrzec ich logikę i sens.

Jazda pociągiem to dla bohatera powieści również czas refleksji i zadumy nad własnym życiem. Dostrzega dziesięcioletniego chłopca podróżującego koleją i odnajduje w nim samego siebie. Zastanawia się na ile udało mu się go ocalić w sobie, ile z jego marzeń zrealizować...Stają mu przed oczyma własne klęski, zarówno te duże jak i małe. – Stara się zanalizować ich przyczyny. Wspomina traumatyczne czasy bratobójczych walk w byłej Jugosławii, stwierdzając, że wtedy udało mu się ocalić własne człowieczeństwo głównie dzięki lekturze książek, które zabrał ze sobą do wojska lub odnajdywał w opuszczonych domostwach. Inni, starsi współtowarzysze podróży wspominają czasy II wojny światowej, pobyty w obozach, walki z terrorystycznymi krajami niemieckimi żołnierzami i współpracującymi z nimi chorwackimi ustasami, którzy byli wobec Serbów jeszcze bardziej bezwzględni. Obok poważnych dyskusji na temat historii, filozofii pasażerowie prowadzą również rozmowy na tematy dotyczące życia codziennego, jak chociażby relacji męsko – damskich, miłości czy chociażby potrzeby wzajemnej bliskości.

W *Zaśnieżonych historiach* Daniłow przeprowadza bardzo ciekawą analizę zachowania ludzi podróżujących koleją.

(Dokończenie na stronie 12)

Podróże kolejną z Draganem Daniłowem

(Dokończenie ze strony 11)

Konfrontuje ich ze sobą, tworząc jakże barwną mozaikę postaw. Pociąg staje się swoistym konfesjonalem, w którym mogą oni opowiedzieć innym o dręczących ich demonach, a jednocześnie jest miejscem, gdzie można wygłaszać deklaracje, z których i tak nikt ich nie rozliczy. W tej powieści jednak nie jest najważniejsza fabuła, ale jej klimat. Pociąg jest tylko pretekstem do ukazania i zderzenia rozmaitych ludzkich postaw, przeżyć i doświadczeń życiowych. Na czas podróży staje się swoistą Arką Noego, na pokładzie której zgromadzili się ludzie różnych profesji, wyznań i narodowości. Scena nocy Sylwestrowej na jej pokładzie ma wymiar wręcz mistyczny a nawet magiczny. Wszyscy bratają się ze sobą i zapominają o tym, co ich różni i dzieli. Stają się jedną rodziną, WSPÓLNOTĄ LUDZI.

To niezwykle przejmująca a zarazem interesująca i zmuszająca do głębokich przeżyć pozycja wydawnicza, do lektury której gorąco zachęcam.

Tadeusz Zawadowski

Dragan Jovanić Daniłow, *Zaśnieżone historie*. Przekład z języka serbskiego oraz redakcja: Olga Lalić-Krowicka. Krosno 2024, s. 146.

Świat Anny

Wystąpienie brytyjskiego poety Anthony'ego Smitha podczas specjalnego wydarzenia zorganizowanego przez Ambasadę RP w Londynie oraz Polski Ośrodek Społeczno-Kulturalny w Londynie z okazji 40. rocznicy debiutu literackiego Anny Marii Mickiewicz.

Poznałem Annę nie jako poetkę, ale jako wydawczynię, założycielkę wydawnictwa *Literary Waves Publishing* w Londynie. Było to w 2022 roku podczas weekendowej imprezy filmowej, wykładów i wystaw poświęconych polskiej diasporze i upamiętniających Powstanie Warszawskie. Odbyły się one w kinie *ActOne* w dzielnicy Acton w Londynie. Imprezę zorganizowała Joanna Dudzińska z grupy *Talking and Exploring*.

Jedną z prelekcji dotyczyła Krzysztofa Kamila Baczyńskiego, młodego poety, który zginął tragicznie w pierwszych dniach Powstania Warszawskiego. Wygłosiłem ją, chociaż pierwotnie miał ją przedstawić emerytowany amerykański psychiatra John Diet-

man, który był wolontariuszem w muzeum w Bentley Priory w Stanmore. Było ono niegdyś siedzibą Strategicznego Dowództwa Lotniczego. Pracował w dziale, gdzie przechowywano zdjęcia i dokumenty dotyczące pilotów polskich i z Europy Wschodniej, którzy walczyli u boku Brytyjczyków. Często zwracał się do polskich gości, zwłaszcza tych młodszych, z pytaniem, czy słyszeli o Krzysztofie Kamile Baczyńskim?

Potrzebowałem tłumaczeń wierszy Baczyńskiego na język angielski i znalazłem je w Internecie opublikowane przez londyńskie wydawnictwo *Literary Waves*. Na końcu broszury, znajdował się e-mail wydawcy, postanowiłem skontaktować się z Anną Marią Mickiewicz i zapytałem, czy dołączy do nas, aby zaprezentować wiersze Krzysztofa Kamila Baczyńskiego w języku polskim, podczas gdy ja będę czytał je w języku angielskim.

Wtedy uświadomiłem sobie, jak bardzo odmiennie mogą brzmieć utwory w różnych językach. Gdy Anna czytała wiersze, odczuwałem zupełnie inny poziom emocji i zrozumienia, którego brakowało w mojej angielskiej prezentacji. Samo słuchanie dzieł w oryginalnych językach, zwłaszcza gdy recytują je poeci, może być fascynującym doświadczeniem, nawet jeśli nie znamy języka! W końcu Anna jest poetką. Ale nie tylko – jest również wydawczynią, redaktorką, tłumaczką, a nawet pracowała jako korespondentka zagraniczna. Jednak, przede wszystkim, to jako poetka otrzymała wiele nagród. W latach 80. była związana z demokratyczną opozycją w Polsce, a później została odznaczona Krzyżem Wolności i Solidarności przez Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej. Oto krótki wiersz, który napisała w tamtym czasie, starając się nie mówić zbyt bezpośrednio, ale jednocześnie wyrażając jasno swoje myśli. Jego tytuł brzmi „To nie byli oni”. Został on ponownie zamieszczony w rocznicowym wydaniu polsko-angielskiego zbioru poetyckiego poetki, *Parallelism*.

Anna Maria Mickiewicz

to nie oni...

*to nie oni kazali milczeć drzewom
zakładać kneble wiosennym ptakom
oni stoją w poświacie wschodzącego słońca
pełni obaw tego co nastąpi*

W 1991 roku Anna opuściła Polskę. Początkowo wyjechała do Kalifornii, a następnie do Londynu. Jest członkinią English Pen, Polskiego PEN Club-u, Stowarzyszenia Pisarzy i Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie. Miała zaszczyt zaprezentować swoje utwory w Brytyjskim Parlamencie. Jej poezja została opublikowana w wielu językach, w Stanach Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii, Australii, Kanadzie, Polsce, Meksyku, Włoszech, Hiszpanii, Bułgarii, na Węgrzech, w Salwadorze, Indiach, Chile, Peru, Chinach, Tunezji i Francji. Pełniła funkcję przewodniczącej jury nagrody literackiej w Kalifornii oraz jury międzynarodowej nagrody literackiej im. K. M. Anthonu w Indiach. Na University College London organizowała Europejskie Dialogi Lite-

rackie. Książka *The Origin of the Planet* została nominowana do nagrody Eric Hoffer Awards (USA). Autorka została uhonorowana medalem Gloria Artis za zasługi dla kultury przez polskie Ministerstwo Kultury oraz nagrodą literacką im. Josepha Conrada (USA). W 2022 roku, w ramach III Międzynarodowego Dnia Edukacji Polonii, organizowanego przez Polską Akademię Nauk Społecznych i Humanistycznych w Londynie, otrzymała tytuł Polskiej Artystki Roku.

To naprawdę imponująca lista osiągnięć. A teraz moje refleksje związane z twórczością Anny Marii Mickiewicz. Nie jestem naukowcem, to raczej osobiste spojrzenie. W poezji autorki znajdują się odniesienia i idee, które musiałabym poprosić Autorkę o wyjaśnienie. Przedstawiam to, co mnie najbardziej poruszyło.

Będę odnosić się do kilku wierszy i przedstawię cytaty, które znajdują się w zbiorze *Parallelism*.

Poetka jest częścią każdego miejsca, w którym się znajduje, czy to w Polsce, Londynie, Kalifornii, Francji, czy opuszczonym nadmorskim miasteczku na angielskim południowym wybrzeżu, które przeżyło już swoje najlepsze dni. Otaczająca ją przyroda ożywa w wierszach, staje się uosobiona, pełna ludzkich emocji, czasami słońce krzyczy, wzywając nas, czasami jest ospałe, innym razem morze pochłania złote krople, wiatr muska powietrze, a klif zanurza się w morzu jak nurek. Chłonie wszystko wokół siebie, widzi „sółkę pokrytą rosą po deszczowym poranku”.

Obserwacje następują po sobie szybko, z kropkami lub bez, a łączy je to, o czym pisze – jej matka biegnąca do pracy „rozpryskując jesienne kafele”, kochankowie w powietrzu nad Kalifornią lub w Alexandra Park wiosną, anioł, młody mężczyzna, który najwyraźniej zgubił w w Londynie, „sprzedający marchewki, pomidory i truskawki”, oraz starsza kobieta przeszukująca kosze na śmieci, „wisząca na metalowych krawędziach pojemnika... utrzymująca równowagę, kołysząc nogami”.

W tym, co ma do powiedzenia, w tym, jak postrzega miejsce, w którym się znajduje, oraz osoby i rzeczy, które opisuje, jest delikatność i życzliwość. Pojawia się delikatność w tym, jak postrzega świat, nawet jeśli tak wiele w nim umiera, „choć nie powinno tak być” i zawsze jest nadzieja. Mówię „zawsze”, ale nie do końca tak jest, poetka jest świadoma najgorszego, jest świadoma wojny i tego, jak nasze dusze mogą zostać złamane i jak „ci, którzy przeszli na drugą stronę, nie rozumieją”, a „ci, którzy nie przeszli, również nie rozumieją”.

Nie zawsze są to radosne obrazy, ale wiele z nich jest takich, że poruszają czytelnika i być może pozostaną w jego pamięci, a wszystko to jest częścią tego, jak Anna postrzega swój świat. Moim zdaniem uchwyciła chwilę; jak sama to ujęła, „czas zbiera plony upływającymi sekundami”.

**Anthony Smith
(Wielka Brytania)**

Kozetka (120)



On cloud nine... (w siódmym niebie)

2026.
Era Wodnika.
Rok Ognistego Konia.

Joanna Friedrich

Neptun zaczyna 164-letni cykl wokół Słońca. Wszystko zachęca cię do nowego początku. Chociaż Ty już z dawno nie masz początku ani końca. Sylwestry przestały mieć znaczenie, urodziny przestały świecić jasnym blaskiem.

Jesteś w wieku kobiety niewidzialnej. Dwa wieki temu to i tak miałyby miejsce o dekadę wcześniej.

Poleżeć na pierwszej z brzegu kozetce zamiast latać za psem. Albo na łóżku do masażu – jeszcze lepiej. Ktoś tu nie cierpiał leżakowania w przedszkolu nr 6? Koce, termofory i czekany: Zima 2026 w pełnej krasie.

Świat jest jak pędząca kula z sypiacymi się płatkami śniegu wokół. Tu orkan i osuwisko, tam przewrót w oczekiwaniu na pokój.

W filmach fantasy bawią się tą naszą kulą jakieś większe od niej stwory.

Gęsi wracają, biedronki dęba stają – jest napisane w moim pamiętniku jak byk. Faktycznie te świeżo obudzone biedronki są bardzo wygimnastykowane.

Do sąsiada wprowadzili się rude koty, skaczą po śniegu jak Tygryski rodem z „Kubusia Puchatka”.

Ptaki śpiewają coraz śmielej. Sikorki wydają się już całkiem oswojone. Zaglądają do mnie nawet przez okno na piętrze, tam gdzie nie ma kuchni, może zwyczajnie mnie odwiedzają – nie tylko z głodu – jak to sąsiadki.

Kosy spasioone jak małe kurki chodzą spacerem parami.

No i stało się: Zobaczyłam wilka. Biegł sobie truchtem jak gdyby nigdy nic: Przebiegł mi drogę.

Tak, że świat śpi, być może, śpimy i my. Ale wszystko się budzi, wierz mi.

I czeka na Walentynki.



Przepaść jak kamień w wodę

Zaginienie bliskiej osoby jest jedną z najgorszych rzeczy jakie mogą dotknąć kochającą się rodzinę. Gdy pewnego dnia jeden z jej członków wychodzi z domu, by nigdy do niego nie powrócić, we wnętrzu spójnej komórki powstaje czarna dziura, która zasysa wszystko, co znajduje się wokół niej i tworzy obłok melancholii i smutku, obarczając domowników nieprzebraną mgłą cierpienia. Mgła ta nie znika, nawet po wielu latach rozłąki, tężąc do menstrualnego rozmiaru, zakrywającego wszelkie uczucia wobec pozostałych domowników, tak bliskich, acz teraz, po stracie ukochanej osoby, tak dalekich.

Zaginienie bliskiego było chętnie powielanym tematem w kulturze; literaturze, filmie, dramacie. Wystarczy chociażby wspomnieć dzieło w reżyserii Davida Finchera „Zaginiona dziewczyna”, czy oparty na prawdziwych wydarzeniach serial „Sprawa Asunt” Carlosa Sedesa i Jacobo Martineza. Ten sam motyw podejmuje również Jurica Pavičić; ur. 1965, chorwacki pisarz, dziennikarz i scenarzysta, który w najnowszej powieści „Czerwona woda” łączy ze sobą wiele stylów przenikających się wzajemnie, tak aby całość nie odkrywała przed czytelnikami swych tajemnic do ostatniej strony książki.

„Czerwona woda” zaczyna się co prawda od zaginięcia nastoletniej dziewczyny – Silvy – lecz stanowi to zaledwie preludium dalszej opowieści, gdzie prawda i fałsz stykają się niemalże na każdym kroku tworząc mozaikę mętnej zupy.

Proces poszukiwań w dzisiejszych czasach jest trudny i zwykle wymaga zaangażowania wielu ludzi. Nie inaczej było wówczas. Z tą jednak różnicą, iż był to rok 1989, tuż przed wybuchem wojny w Jugosławii. Nikt wtedy, a z pewnością nie rok później, nie zajmował się takimi sprawami, a nawet jeżeli, nie

przykładał do tego bacniejszej uwagi. Cytując prowadzącego sprawę: „Do tej pory mogliśmy jej przypadek traktować jak ucieczkę dziecka z domu. Miała siedemnaście lat i uciekła prawnym opiekunom. Teraz tak nie jest. Stała się pełnoletnią osobą. Miała prawo uciec. Może żyć, gdzie się jej podoba, nie musi się z państwem kontaktować”. Wszelkie prośby, protesty i groźby zrozpaczonych rodziców kończyły się słowami ubolewania i zapewnieniami o niezwłocznym „zajęciu się tą kwestią”.

Pavičić pisząc swą książkę skupiał całą literacką uwagę nad słabością ludzkiej psychiki, wystawionej na traumę utraconej osoby, pozbawionej jakichkolwiek oznak otuchy. Autor „Czerwonej wody” postawił przed nami – czytelnikami – lustro, w którym każdy może ujrzeć siebie samego, co byłoby w stanie znieść, gdyby taka historia zdarzyła się właśnie niemu, a nie wyłącznie bohaterom powieści. Czy gdyby w naszym życiu doszło do tak tragicznej sytuacji byliśmy zdolni do podejmowania odmiennych decyzji? Czy może pograżylibyśmy się w otchłani ciemności, pozbawieni jasnego światła będącego w stanie nas naprowadzić do wyjścia? Albo jeszcze inaczej – co by zwyciężyło – ciemność czy światło? Pavičić zadaje te wszystkie pytania nie znając dobrej odpowiedzi, bo takiej nie ma, a każda próba jej znalezienia, tak jak zaginionej dziewczyny, kończy się fiaskiem, a finał okaże się jeszcze mocniej dramatyczny.

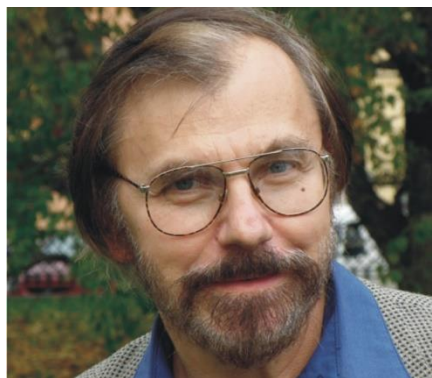
Finał poszukiwań zaginionej osoby bywa niekiedy tragiczny w skutkach. Pogodzenie się z tym, że już nigdy jej nie przytulimy, nie porozmawiamy, jest absolutnie beznadziejnym i bezbarwnym doznaniem jakie można odczuć. Czas niezbędny do zabliznienia ran bywa niezwykle długotrwały i nie zawsze przynosi ukojenie. A jednak mija, a rany nie zablizniają się, mogąc jedynie ukryć się pod wieloma warstwami ubrań.

Paweł M. Wiśniewski



Jurica Pavičić, „Czerwona woda”. Przekład: Leszek Malczak. Wydawnictwo Noir sur Blanc, Warszawa 2025.

Listy do Pani A. (211)



Fot. Andrzej Dębowski

Gałązka nadziei

Droga Pani!

Zastanawiałem się, czy moje listy nie są zbyt pesymistyczne. Co Pani o tym sądzi? I drugie pytanie: czy się jeszcze Pani nie znudziły? Co do ich pesymizmu to wpływu na to nie mam, ponieważ piszę o rzeczywistości takiej, jaka ona jest. Ale też na wiele spraw patrzę okiem prześmiewcy, a także kogoś, kto ma do siebie dystans i poczucie autoironii. A także odrobinę nadziei. Na drugie pytanie nie potrafię sobie odpowiedzieć. Staram się wyszukiwać ciekawe rzeczy, śmieszne sytuacje, ale czy to Panią dalej interesuje? Ale świat jest zabawny i zmienny, więc zawsze coś nowego się znajdzie; coś wzruszającego lub do wymśniania.

Ludziki często wszystko biorę dosłownie, a niemal nagminnie mają problem ze zrozumieniem tego, co się do nich mówi, a szczególnie coraz bardziej są bezsilni wobec tekstu pisanego. Tak sztuczna inteligencja karmi prawdziwą głupotę. Obserwuję to rozmawiając z przeciętnymi ludźmi, a często słuchając odpowiedzi polityków na zadawane przez dziennikarzy pytania. Młodzież ma trudności z interpretacją prostych tekstów. Podobno wiele prac pisemnych w liceach czy na studiach są właśnie sztucznie generowane.

Dobrą drogą do skretynienia jest chorobliwe scrollowanie. Są tacy, którzy robią to bez przerwy. Nawet podczas przechodzenia przez jezdnię nie odkładają smartfona. Niektórzy nawet się w ten sposób eliminują, a reszta ma już mniejszą inteligencję od trawy, która przynajmniej rozróżnia jeszcze pory roku.

Wydaje się, że ludzkość stoi na krawędzi jakiejś przepaści, w pewnym momencie wpadnie w dół własnej głupoty, i tak chwalebnie zginie. Niewielka szkoda – tu objawia się mój pesymizm osobliwie połączony z optymizmem. Bo po co przyrodzie ludzkość, która systematycznie niszczy swoje środowisko. Teraz bezpośrednio bierze się za samą siebie, co w ogólnym rozrachunku można potraktować z pewnym optymizmem... Nietrudno dostrzec już pierwsze tego symptomy, choćby oglądając telewizję czy słuchając przemówień. Ale ewolucja będzie działać nieprzer-

wanie. Mam nadzieję, że za kilka miliardów lat najzdolniejsze psy i koty osiągną poziom super wybitnych naukowców, a inne dorównają dzisiejszym absolwentom Collegium Tumanum.

Ludzie mają różne problemy, niekiedy bardzo ciężkie, dramatyczne. Nie zawsze pobudza to do śmiechu. Mnie nie chodzi o jakiś sardoniczny śmiech z cudzego czy własnego nieszczęścia, ale powiadam: wszędzie są jakieś okruciny humoru. Przynajmniej ja to tak widzę. Rozmawialiśmy kiedyś z Anią ściśle teoretycznie o przeszczepach. To dla wielu trudne sprawy, ale czasami jedyny ratunek. Oczywiście, zdaję sobie z tego sprawę. Ale jako zaprzysiężony świntuch zapytałem, (także teoretycznie) czy ktoś, kto przeszczepiłby sobie organ męski, zdradzałby żonę.

A na to Ania, rezolutnie i w moim stylu zauważyła: „wtedy raczej żona by go zdradzała”. Wybuchliśmy śmiechem. Powiedziałem: „świetne zauważenie, jesteś praktyczna pani”. „To tylko logika, której ty nie wykazałeś”, odparła śmiejąc się Ania. Ot, wesołe pogaduszki. Dlatego niektórzy, ci co nie lubią czarnego humoru, uważają że dla mnie nie ma nic świętego. Ale kto powiedział, że z rzeczy uważanych potocznie za „święte”, nie można się nagrawać. Tak więc jestem wesoły a nawet pogodny inaczej.

Dla niektórych aż bluźnierczy. Pisałem Pani, że nie lubię słowa „Bóg”. Kojarzy mi się z jakimś brzuchatym, brodatym facetem, który siedzi gdzieś wysoko i ma wszystkim wszystko za złe. Niektórzy księża skłaniają się do takiej wizji: niebo wysoko, piekło poniżej piwnicy (a co, jeśli Kowalscy nie mają piwnicy, jak w pewnym dowcipie zapytał mały Jaś?). Posługujemy się ludzkim językiem i pojęciami, więc to wszystko co mówimy o sprawach nadprzyrodzonych jest wysoce nieadekwatne do owej tajemniczej rzeczywistości.

Dlatego bardzo często – jak to niektórzy określają – „robię sobie żarty z pogrzebu”; z różnych absurdalnych nabożeństw, modlitw i pieśni. Większości ludzi jest to potrzebne, bo nie wyszli poza bań o krasnoludkach. Nie potrafią myśleć abstrakcyjnie, Wyobrażają sobie na przykład, że po śmierci będą tutaj szaleć jako istoty niewidzialne, podglądać gołe sąsiadki w kąpiel (o ile w ogóle one się kąpia), poznawać tajemnice innych, przenosić się w różne rejony świata bez paszportu i dewiz.

Tymczasem czytam w jednych z wywiadów, którego udzielił nieżyjący już niestety o. Jan Kłoczowski OP Elżbiecie Wojnarowskiej: „*A jeśli chodzi o nasze relacje z Bogiem, również posługujemy się ludzkim językiem. Oczywiście jesteśmy wpisani w czas i przestrzeń. Natomiast wieczność nie jest nieskończonym przedłużeniem życia, nieskończonym czasem, tylko jest wyjściem poza wymiar czasu i przestrzeni*”. I takie podejście do mnie rzeczywiście przemawia. Reszta, to otoczka, która bywa naiwna, zabawna, błaha.

Dlatego bardzo mnie ucieszyła nominacja kardynała Grzegorza Rysia na metropolicę krakowskiego, na miejsce Marka Jędraszewskiego, który ku uciechu wielu został wycofany na emeryturę. Tak powoli przechodzi epoka kapłanów, którzy uważają się za

przełożonych Chrystusa; bufonów, karierowiczów, głupców, malwersantów, złodziei, którzy niestety jeszcze działają i dalej śnią o manipulowaniu masami. Ale „masy” już nie te same, więc trudniej je zastraszać. Ale czy prawdziwe chrześcijaństwo polega na emocjonalnym niewolnictwie?

Ale ze mnie filozof, choć dzisiaj ktoś z nowych moralistów powiedziałby: „fozofil”, i nie wpuścił mnie do szkoły na spotkanie autorskie. Ale już się nie nadymam, nie przyjmuję pozy naprawiacza świata. Tak, ponurzy bel-frzy wzięliby mnie za starożytnego mędrca Penistoklesa, nauczyciela origazmi, albo poetę Obleśmiana. I na stos!

Czy w tym momencie Pani się gorszy, czy śmieje do rozpuku (cokolwiek to znaczy)? Ania twierdzi, że mam niepowstrzymaną inwencję językową. Kilka podobnych zbitek znaczeniowych i kalamburów nawet sobie zapisałem, aby je Pani w odpowiedniej chwili zademonstrować. Większość jednak wymyślana ad hoc przepadła, że się tak wyrażę, w czeluściach zapomnienia. Z drugiej strony dzisiaj trzeba mieć wiele nieufności oraz napiętą uwagę.

Tak się zabawiam, bo muszę jednak mieć jakąś odskocznię. Przyznaję, że jest to z jednej strony swoiste oswajanie lęku, z drugiej tworzenie iluzorycznego, mentalnego azylu. Ktoś powie, że na starość głupieję. Tak, zgadzam się, ale jak widać wokół, nie jestem w tym odosobniony.

Powyższe moje myśłatka dobrze wpisują się w przesłania świetnych wierszy Krystyny Cel, która jakiś czas temu przysłała mi swój tom „W cieniu nadziei”. Świat przedstawiony tych wierszy jest niepokojący, poetka mówi wprost, że coraz trudniej jest żyć w obecnej, rzeczywistości. Coraz mniej w nim miejsca na słowo, na dialog, na normalność. Bardzo Pani ten tom polecam, a szczególną uwagę proszę zwrócić na utwór „Jak podnieść”, powstały – jak czytamy w komentarzu – „Na kanwie wierszy Stanisława Nyczaja”. Poetka utwór ten kończy słowami: „i jak tu podnieść/ upadłą gałązkę nadziei”. To dobra inspiracja, bo ten wybitny poeta był w swoim odczytywaniu świata bezkompromisowy, ale zawsze zostawiał miejsce dla nadziei właśnie. Dobrze to wyczuła i odczytała Krystyna Cel. Czy podobne wiersze coś ocalają? Może nie ocalą świata, ale jakąś cząstkę człowieczeństwa, które pomimo wszystko w nas się tli.

Życzę Pani, aby literatura, zwłaszcza poezja, skutecznie rozjaśniała wszystkie Pani chwile „gałązkami nadziei” –

Stefan Jurkowski



Rys. Barbara Medajska

Rozmyślania



Fot. Andrzej Walter

Europa w kapciach, Chiny na torach. O utracie prędkości sensu i odwagi

Gdzieś daleko, w Państwie Środka, które jeszcze niedawno było synonimem taniej siły roboczej i kopii zachodnich pomysłów, właśnie przetestowano pociąg pędzący 450 kilometrów na godzinę. Nie koncepcję, nie makietę z targów technologicznych, ale realny środek transportu, który już za chwilę wejdzie do użytku. W tym samym czasie Europa, kiedyś latarnia cywilizacji, siedzi na konferencjach i z powagą rozważa, ile istnieje płci, czy „matka” to słowo opresyjne, a „osoba rodząca” brzmi dostatecznie empatycznie. Kiedy Chińczycy testują koleje magnetyczne. Europa testuje granice absurdu.

Andrzej Dębowski

To zestawienie jest jak scena z alegorycznej powieści. W Chinach – laboratoria, stal, konkret, konstrukcja. W Europie – seminaria, warsztaty, debaty. Chińczycy robią, Europejczycy rozmawiają. Z jednej strony: naród, który w ciągu jednego pokolenia przeskoczył z epoki roweru do ery kolei magnetycznych. Z drugiej: kontynent, który od dziesięciu lat nie potrafi zbudować jednego wielkiego projektu infrastrukturalnego bez utopienia go w morzu przepisów, opinii, raportów środowiskowych i genderowych analiz wpływu na społeczeństwo.

Europa stała się cywilizacją hamulca ręcznego. Każdy pomysł trzeba „przedyskutować”, „zrównoważyć”, „uzgodnić”, „uwzględnić”. W efekcie – nic się nie dzieje. W imię

równości temp wyhamowania. Chińczycy tymczasem – może mniej demokratycznie, ale z brutalną skutecznością – pokazują, że postęp to nie hasło, tylko działanie.



Europa nie utraciła technologii – utraciła poczucie celu. Na uniwersytetach, gdzie kiedyś rodziła się nauka, dziś rodzą się deklaracje wrażliwości. W laboratoriach zamiast eksperymentów prowadzi się audyty etyczne. Zamiast inżynierów mamy konsultantów ds. inkluzywności. Zamiast konstruktorów – koordynatorów projektów społecznych. Nie sposób oprzeć się wrażeniu, że Stary Kontynent zamienił się w gigantyczne biuro, w którym codziennie drukuje się nowe procedury i formularze, żeby tylko niczego nie urazić i nie podjąć żadnej decyzji.

A przecież to Europa wymyśliła pociąg. To tutaj, na torach Anglii, Niemiec i Francji, narodziła się nowoczesność. A teraz? Teraz, gdy Chińczycy osiągają 450 km/h, Europa pyta: czy taki pociąg nie byłby zbyt „emisyjny emocjonalnie”? Czy prędkość nie jest czasem toksycznie męska? To wszystko brzmi jak ponury żart, ale to dramat cywilizacyjny. Zachód, który kiedyś z dumą głosił, że kieruje światem dzięki nauce, technologii i kulturze pracy, dziś kieruje się emocją, opinią i urazą. Zastąpił racjonalność wrażliwością, postęp – ostrożnością, a odpowiedzialność – poprawnością. Tak upadają cywilizacje: nie w ogniu wojen, lecz w miękkim fotelu samozadowolenia.



Kiedyś Europejczycy budowali katedry, koleje, uniwersytety, rakiety. Dziś budują narażenie. Nie chodzi o to, by zachwycać się chińskim autorytaryzmem. Nie chodzi o kopiowanie modelu, w którym decyzja jednej partii waży więcej niż opinia miliona ludzi. Ale nie sposób nie dostrzec, że Chińczycy mają cel – a Europa ma wątpliwości. Chińczycy chcą być najlepsi. Europa chce być bezpieczna. Chiń-

czycy planują 50 lat naprzód. Europa planuje do następnych wyborów. Autorytaryzm bywa skuteczny, dopóki stoi za nim ambicja. Demokracja staje się farsą, gdy staje się tylko usprawiedliwieniem bezczynności.



Europa sama siebie rozbroiła – nie z broni, ale z przekonania. Nie potrafi już powiedzieć: „to jest słuszne, to zrobimy”. Potrafi tylko: „zrobimy analizę wpływu społecznego i powołajmy zespół roboczy ds. emocji interesariuszy”. Kiedyś to Europa była centrum świata. Dziś Europa jest terapeutą świata – analizuje, tłumaczy, mediuje. Zamiast odkrywać nowe kontynenty, odkrywa „nowe formy tożsamości”. Zamiast zdobywać kosmos, zdobywa własne sumienie. Nie ma w tym nic złego – gdyby nie fakt, że świat nie czeka. Podczas gdy w Pekinie rusza pociąg 450 km/h, w Brukseli trwa dyskusja, czy czekoladki z kształtem żaby nie są przypadkiem dyskryminujące dla ropuch. To brzmi jak groteska – ale to rzeczywistość cywilizacji, która myli empatię z bezczynnością, wolność z chaosem, różnorodność z rozproszeniem.



Chiński pociąg już odjechał. Europa stoi na peronie, z kubkiem sojowego latte w dłoni, dyskutując, czy nazwa „peron” nie powinna brzmieć neutralnie. Kiedyś Europa była lokomotywą świata. Dziś jest wagonem restauracyjnym – ładnie urządzone, z miłą obsługą, ale ciągniętym przez kogoś innego. A przyszłość, jak pociąg z Szanghaju, nie zamierza zwalniać. Nie będzie czekać na tych, którzy debatują, lecz na tych, którzy działają. Bo świat nie pyta, kto ma rację.

Świat pyta, kto dojedzie pierwszy.



Andrzej Dębowski

Pod łukiem ludzkiego światła

Tom *Pod łukiem fermaty* Aleksandry Fidziańskiej jest jednym z tych zbiorów, które nie tylko się czyta – w nim się przebywa. Wchodzi się w jego świat ostrożnie, jak w czyjś dom, w którym pachnie wspomnieniem, niepokojem, muzyką i świeżo zaparzoną kawą z kardamonem. To poezja, która nie tworzy dekoracji, lecz odkrywa warstwy – życia, pamięci, uczuć, ran i głębokich, nieodwracalnych przemian. W tym tomie każde słowo jest nie tylko zapisane, lecz także przeżyte. Każdy wiersz przenika autentyczność człowieka, który oddycha słowami, choć czasem oddycha za szybko, czasem za ciężko, czasem bez tchu.

Już w otwierającym tom wierszu *credo* pojawia się wyznanie intensywności, którego nie da się pomylić z literacką pozą: „łapię życie zachłannie / pazernie / bezwstydnie”. To nie prowokacja, lecz świadectwo człowieka, który nie chce żyć połowicznie, który wie, że wszystko, co przychodzi – zachwyt, lęk, miłość, upadek – przychodzi naprawdę. Autorka wchodzi w rolę kogoś, kto dotyka życia gołymi rękami, nawet jeśli czasem mają poranić ją kanty świata. Zde-rza się z podłogą, ale tylko po to, by „móc się odbić”. To jest właśnie ton całego tomu: zstępowanie i powstawanie, zanikanie i wracanie, trwanie mimo pęknięć.

Fidziańska pisze o codzienności tak, jakby była osobną kosmologią. *Rozkład jazdy* to niemal poemat o dniu – zwykłym, lecz utkanym z cudów i kłopotów, z dzwonów, guzików „na wczoraj”, czerwonego wina, argentyńskiego tango nuevo i marzeń, które trzeba oprzeć o coś, choćby o cienką poręcz snu. Ta codzienność nie jest tutaj telewizyjnym tłem; staje się zasadniczym tworzywem życia, pełnym nieprzewidywalnych zakrętów, które trzeba pokonywać każdego poranka, nawet jeśli trzeba „ominąć spłoszone dewiacje” i mediowe błyskotki, które mają i oślepiają. Fidziańska pokazuje, że dzień składa się nie tylko z rzeczy koniecznych, lecz także z tego, co ratuje – z drobnych marzeń, z czułości, z uważności na smak kawy i na to, co w duszy dzwoni ciszej niż zegar na ścianie.

W tomiku powraca motyw odzyskiwania siebie. Poetycka miniatura o powracającej „wierze w siebie” jest jak delikatny oddech między napadami lęku i momentami wewnętrznej katastrofy. Wiara wraca – czasem na skrzydłach ptaka, czasem jak zagubione dziecko, czasem jak zwierzę, które trzeba ośwoić. Autorka wie, że siła nie jest stanem, lecz procesem; że wraca i ucieka, że trzeba ją karmić, ogrzewać i wypuszczać, by do nas powracała.

Wielką część tomu zajmują wiersze pandemiczne – nie jako reportaże, lecz jako emocjonalny zapis czasu, który przeszedł wszystkich. Fidziańska pokazuje pandemię z wnętrza człowieka: od złudnej wieczności w szpitalnym świetle po wielkanocne „kopiuj-wklej” życzeń, w których ginie drżenie dłoni i niepewność jutra. Pokazuje, jak oddech może stać się zbyt ciężki, jak dni potrafią tracić kontury, jak „nie-doleczony kaszel” może zastąpić poczucie bezpieczeństwa. Pisze o tym, co zrobiła z nami izolacja, co zrobiła z czasem, co zrobiła z relacjami.

W wierszach o apatii, bojaźni i rozpierającej nieobecności samego siebie odnajdujemy nie przeszłą epidemię, ale coś, co zostaje w człowieku na długo.

Ta powaga jest wielokrotnie równoważona niezwykłą czułością. Tom przepełniony jest gestami troski: o matkę, o przyjaciół, o zmarłych, o dzieciństwo, o partnera, o siebie. Wiersze o relacjach pulsują emocją, która nie jest sentymentalna, lecz dojrzała. Szczególnie poruszające są teksty, w których dotyk staje się formą ocalenia: warkocz, który ma zamknąć złe wspomnienia; brzoza kora, o którą można się oprzeć aż do bólu; włosy pachnące aniżem i tymiankiem. To symbole miękkie, liryczne, lecz nie nadmiernie ozdobne. Poetka potrafi prosty gest zamienić w metaforę intymności silniejszą niż deklaracje miłości.

Jednym z najbardziej przejmujących fragmentów tomu są wiersze o odejściach i pamięci. *Pożegnanie* to prawdziwy klejnot – zapis chwili, w której przypadkowe przytulenie okazuje się ostatnim. Człowiek – jeszcze żywy, jeszcze uśmiechnięty, w czerwonej bluzie, która odmładza, wciąż opowiadający swoje historie – odchodzi chwilę później. A jednak zostaje dotyk, głos, obraz, zapach, troska syna i synowej, które poetka zapisuje tak, jakby chciała ocalić je przed zapomnieniem. Ten wiersz brzmi jak rozmowa z kimś, kto wciąż jest po drugiej stronie stołu, choć już go nie ma. Jest w nim prawda, po której trudno wrócić do zwykłego czytania – trzeba chwilę pobyt w ciszy.

Ale Fidziańska nie zamyka się w świecie osobistym. Kiedy patrzy szerzej, jej poezja nabiera mocy społecznej. W wierszu *gdzie jesteś, Polsko?* poetka pyta nie o politykę, lecz o moralność. Mówi o utracie przyzwyczajenia, o zapomnianych tradycjach solidarności, o wstydlivych kompromisach współczesności. W *człowiek – człowiekowi* wskazuje na globalną przemoc, która rozsądza świat od środka; na dzieci powalone krzykiem; na drony, które „wyleciały z małych głów wielkich tego świata”. W tych utworach pobrzmiewa nie gniew, lecz smutek – smutek człowieka, który pamięta, jak mogłoby być inaczej.

Jednocześnie Fidziańska nie pozwala, by świat pozbawiony empatii zniszczył sens życia jednostki. Jej bohaterka liryczna tworzy własny mikrokosmos wdzięczności – za ludzi, za muzykę, za „ślady w glinie”, za świat, który nie ogranicza się do apteki i biura. To poetka, która w chaosie współczesności potrafi znaleźć chociaż jeden promień poranka i uznać go za powód, by powiedzieć „dobrego dnia”.

Wiersze o czasie i upływie lat są kolejnym ważnym aspektem tomu. Poetka mierzy się z przeszłością, własnym dzieciństwem zamkniętym w szufladach, sznurkiem wspomnień, który pęka pod ciężarem tego, co złe i tego, co dobre. Pisze o dorastaniu, o „piątej dwudziestce”, o ciele, które przestaje być sprzymierzeńcem, ale wciąż jest domem dla myśli i troski o innych. Pisze o dniu, który nie układa się, jeśli zabraknie jednego „dzień dobry”. Pisze o jesieni, która nie tylko płacze, ale też ocala.

Najbardziej wyróżnia się język tej poezji – sensualny, muzyczny, pełen światła i barw. Fidziańska nie używa metafor, aby ukrywać sens, lecz aby go uwypuklić. Jej poezja pachnie, smakuje, dzwńczy. W wierszach znajdziemy kardamon, cynamon, czerwone wino, truskawki, pyłki motyli, maliny, jeżyny, tymianek, zielone światelka szczęścia, chropawe węzły brzozaowej kory, argentyńskie tango. To poezja zmysłowa, w której ogromne znaczenie ma dotyk i zapach, jakby świat można było ocalić właśnie poprzez ciało: jego pamięć, jego wrażliwość, jego zdolność do odczuwania.

Wielokrotnie pojawia się też muzyka – nie jako ozdoba, lecz jako konstrukcja sensu. Można odnieść wrażenie, że cała książka jest wielką partyturą, w której życie drga pod łukiem fermaty, w której cisza ma swoje miejsce, w której każde uczucie ma swój rytm. Fenomenalne jest to, że tytuł tomu nabiera sensu dopiero po lekturze większości wierszy – fermata okazuje się przerwą w trudzie istnienia, momentem wybrzmienia, chwilą koniecznej pauzy, aby nie utracić siebie.

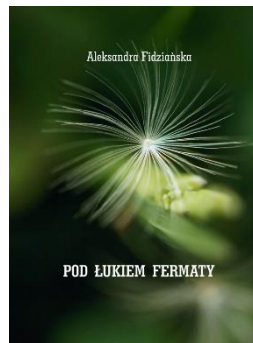
Pod łukiem fermaty to książka, która nie unika bólu – ale też nie karmi się nim. To tom o człowieku, który walczy, kocha, wspomina, boi się, szuka. O człowieku, który czasem „chce wyć do księżycy”, a czasem potrafi patrzeć na ogródek matki tak, jakby był krainą błogostanu, w której kolory i zapachy mogą uleczyć pamięć. O kimś, kto czuje za mocno – i z tego „za mocno” potrafi ulepić poezję.

A nade wszystko to tom o obecności: obecności w życiu, w chwili, w relacji, w bólu, w oddechu, w ciszy, w lęku, w zachwycie. O tym, że nawet jeśli świat się kruszy, człowiek może jeszcze być dla drugiego człowieka oparciem. Może być brzozą, ramieniem, warkoczem, dotykiem, czułością.

To poezja, która nie jest literacką konstrukcją – jest świadectwem. Świadectwem kobiety, która postanowiła nie udawać, że życie jest łatwe. Ale która jednocześnie wierzy, że każdy z nas ma swoje miejsce pod łukiem fermaty – miejsce, w którym można się na moment zatrzymać, odechnąć i usłyszeć własne serce.

Tom Aleksandry Fidziańskiej jest piękny, przejmujący i ludzki. Jest lustrem, w którym możemy zobaczyć siebie – i ciepłym światłem, które nawet w najciemniejsze dni przypomina, że jeszcze jest dokąd wracać.

Aleksandra Fidziańska, *Pod łukiem fermaty*. Redakcja i wstęp: Witold Stawski. Projekt okładki i grafiki: Aleksandra Fidziańska. Wydawca: Aleksandra Fidziańska, Piotrków Trybunalski 2025, s. 68.



Światło bursztynów

Bożena Anna Flak ma swoje miejsce w literaturze polskiej. Potwierdzają to wybitne dokonania w poezji: „Owoc granatu” (1989), „Piśzę Ci moją miłość” (1993), „Jak złota spinka” (1998), „Kto zieleni powróci” (2005), „Zmylone ptaki” (2008), „Przyjacieli” (2010), „Powroty dobrych fal” (2011), „Pięć siedem pięć” (2018), - zebrane w tomie *Wtężpowrotem* (2020), „Padają z niebopodstaw filozofii peronalistyczne wiersze” (2021) oraz w prozie poetycznej „Niby nic” oraz „Rozsypane bursztyny” (2024).

Ta ostatnia wymieniona pozycja prozatorska będzie przedmiotem recenzji.

Jest także autorką esejów, wielu artykułów oraz tekstów do muzyki: hymnu Międzynarodowego Kongresu Józefologicznego w Kaliszu, unikatowych koled autorskich, wydanych w albumie „Światło z Betlejem” z muzyką Julii i Grzegorza Kopala (Poznań 2013).

Do drugiego tomu prozy „Piśzę ci moją miłość” przedmowę napisał poeta ks. Janusz St. Pasierb. Tom „Niby nic” uzyskał w 2015 roku wyróżnienie Feniks w kategorii literackiej. Ks. prof. Bonifacy Miązek recenzując tom „Niby nic” nazwał w Pamiętniku Literackim (grudzień 2015) próby poddania się dyscyplinie krótkiej formy zewnętrznej „zagęszczoną siatką refleksyjną”. W tomie „Pięć siedem pięć” siostra Bożena doskonale zaprezentowała opowiadanie japońskiego siedemnastosiłabowca.

Poezje Bożeny Anny odkrył prof. Zdzisław Wałaszewski (wybitny filolog i znawca literatury, przez siostry nazywany Wałaszem lub Wałaszkiem), który przyczynił się do wydania debiutanckiego tomu poezji „Owoc granatu”.

W książkach autorki odnajdujemy genialny pogląd ks. prof. Michała Hellera: Nauka daje wiedzę, religia sens. Ta myśl determinuje jej pisanie.

W roku 1968 wybrała drogę życia konsekrowanego i wstąpiła do Międzynarodowego zgromadzenia Sióstr Nazaretanek. Ukończyła filologię polską na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Uczyła języka polskiego w Prywatnym Liceum Ogólnokształcącym Sióstr nazaretanek w Warszawie. Wiele lat spędziła poza Polską, uzupełniając wykształcenie w zakresie formacji, teologii oraz języków obcych.

Czytanie bezsprzecznie artystycznej prozy, zawartej w pierwszej części „Rozsypanych bursztynów”, zatytułowanej „Matecznik”, a szczególnie opowiadań „Kolebka” i „Tato”, bezwiednie przywołuje pamięć znamienitych opowiadań Marii Dąbrowskiej („Ludzie stamtąd”, „Wiejskie wesele”).

Zresztą mają wiele wspólnego te pisarki, pochodzące z okolic Kalisza (prawie kilkanaście kilometrów odległego): Maria Dąbrowska na północ ze szlacheckiego dworku w Ruszowie, Bożena Anna Flak na południowy wschód z Saszy (z przywoływanym parafialnym kościołem w Chełmcach pw. Narodzenia Najświętszej Maryi Panny, nazywanym Matki Bożej Siewnej z Chełmc).

Obie niskiego wzrostu, o podobnych cechach charakterologicznych, osoby zdecydowane w działaniu, z poczuciem humoru, mówiąc po prostu „charakterne”, ale nieobca jest im szlachetność, czułość i delikatność.

Na wyjątkową personifikację trafiamy w „Kolebce”. Dom rodzinny zauważył autorkę pierwszy: wołał, płakał, szlochał, płot chylił się i chwiało od dawna wiadomo, płot przy domu to rzecz święta, wyraźnie się rozrzewniał ten dom, zbudowany w 1962 roku. Szczególnie jest zobaczenie domu po latach. Wśród wiecznych traw wszelkich odmian rozrosły się kępy pokrzyw i jeżyn. Nowy właściciel wykorzystał podwórko na składowisko starych aut. Zabrakło mu wyobraźni oraz szacunku do cudzych odczuć: pod dębem bieliła się stara „angielka”-piecyk na cztery fajerki, który kiedyś stał w maminie kuchni. Rozpalany o świecie zapowiadał nowy dzień. Drabina, „drabka” pozwalała dzieciom zrywać czereśnie na czubku drzewa. Nadal wisiała pod dachem stodoła na specjalnych zawieszkach. To miejsce gęste od wspomnień, pisze: podchwyciłam dobry wspomnieniowy ton domu, który przycichł w sobie i przysygnął mnie swoim ciepłem. Jakby chciał powiedzieć: miłość prawdziwa nie umiera. Usłyszał odpowiedź: będziesz zawsze kochany przez tych, dla których powstałeś. Nowy posiadacz ofiarował naszym starym budynkom nowe dachy. Warto trwać, dopóki dachy nowe...

Tato wołał na Annę „Hanuszek” – zabawnymi nie podrobienia zdrobnieniem imienia. Miał dziecięce, koloru niebieskiego oczy, całą przytomnością wpatrzony w tego, z kim rozmawiał. Przydzwigał do warszawy najstarszej córce duże pudło jabłek i gruszek. Ojciec lubił ludzi, lubił gości, lubił obdarowywać: „A niech tam, starczy dla wszystkich” – gdy mu wypomniano zbytnią hojność. Tato był nieodzowny, mówił do matki: dej ji ze cztery tysiące. Ady, jako tyż jeźdeś... weź, przydaj ci się tam, w tym Lublinie (gdy studiowała na KUL-u) Tu trafiamy na gwarę kaliską. Tato nie miał mocnego zdrowia, często chorował. Nigdy nie nazwał swej choroby rakiem. Gdy Anna poinformowała, że pragnie życia całkowicie oddanego Chrystusowi z Zgromadzeniu Sióstr Nazaretanek, tato powiedział: To miłe życie, ale bardzo trudne. Potrafił się modlić na różańcu za umierających w szpitalu. Jego szczególne kompetencje emocjonalne/uczuciowe ujawniały się, gdy pytał Annę, nauczycielkę języka polskiego w liceum: Nie postawiłaś żadnej dwójki?

Przed swoją śmiercią powiedział Annie: Żebyś była tam, gdzie jesteś. W komunikacji, przekazanym Annie przez krewnego: Przyjeżdż, tato jest licho- znajdujemy szczególny wyraz prostoty.

Autorka teksty prozatorskie poprzedza wierszami, przykładem: „Gdy umiera matka”. Miała trzy córki, nazwane poetycko ptakami. Po jej śmierci napisze Nazaretanka: Gniazdo, które spadło. Matka lubiła być „w drodze”, tak jak przystoi człowiekowi. Podróżowała do wielu miejsc, szczególnie kultu religijnego, kolegiatę kaliską św. Józefa odwiedzała kilka razy w tygodniu. Miała zdecydowany charakter, często graniczący z surowością. Potrafiła mówić krótko: te moje oczy już gasną, Haniu, ja teraz

to już rosnę do ziemi. Kochała drzewa, kwiaty, dojrzewające zboże.

Ukazując sylwetki rodziców, by wykazać, co kształtowało/miało wpływ na dzieciństwo oraz dojrzałe lata Siostry Bożeny.

Wyjątkowy, emanujący pięknem obraz Najświętszej Rodziny, który wisiał w domu babci, często odwiedzany i podziwiany, jakby antycypował wybór zakonnego życia przez Annę. Już wtedy marzyła o tym, by pojechać do kraju Jezusa i zobaczyć Nazaret. Kult Jezusa miał szczególną postać, bowiem wielu w rodzinie było Józefów.

Przeżyła radość nazwania tego, co znane, gdy pisała wiersz o błogosławionym Franciszku Stryjasie, świeckim katechecie, który potajemnie przygotowywał 300 dzieci do I Komunii Świętej, za co został bestialsko zamordowany przez gestapo.

Symboliczny wydzwięk ma krótkie opowiadanie o nieznanym dziewczynce, która pozdrowiła obcą zakonnicę: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus” i to w pierwszym dniu zamieszkania w klasztorze. Był to szczególny znak dla Bożeny Anny, jak często mawiał jej ojciec.

Bardzo dobrze się stało, że autorka „Rozsypanych bursztynów” zdecydowała się umieścić swoje listy pisane do siostry nazaretanki Bożeny Medekszy, która szczęśliwie zachował je w całości i odesłała. Ta wyjątkowa twórczość epistolarna, będąca par excellence literaturą piękną, znalazła swoje godne i pewne miejsce w recenzowanej książce.

O tej wymianie listów (bardzo rzadko dziś uprawianej sztuce epistolarniej) Bożena Flak napisze najprościej, jak tylko można: dziękuję Panu Bogu, że Cię na mojej drodze życia postawił.

Mają odmienne charaktery oraz wygląd (określany w pseudonimach): Bożena Anna – Miętko lub Mała, Bożena Medekszy – Wielka lub Wielkolud. Z prostotą i naturalnością potrafią podpisywać się tak pod swoimi listami. Odnalazły siebie w wyraźnej odmienności postaw. Obie prezentujące wyjątkową inteligencję, wiedzę oraz pogląd na świat, życie, po prostu intelektualistki. Obie wierne zakonnemu powołaniu, dojrzałe, pogłębiane modlitwą. Bezpośredniość i swoboda znamionują tę wymianę myśli: nie ma pożegnań, są spotkania, nigdy nie pożegnania – przywołujące nową tęsknotę. W ciszy można usłyszeć siebie. Wiara jest siostrą ciszy, staje się otwarciem na wolność i samotność. Do swojej „interlokutorki” często pisze tak: nawet w środku największego zabiegania mam ochotę usiąść i podzielić się z Siostrą tym, czego doświadczam, co mnie raduje, czego się boję. Spotkanie to przecież wydanie się na nieustanną walkę.

Dzieli się z czytelnikami wzruszającym spojrzeniem na ojczyznę: polska jednakowo piękna i bolesna (dodam: Polacy bywają piękni – jak w „Weselu” Wyspiańskiego). Trudno patrzeć, jak nasi rodacy zagubieni są w tej nowej wolności, jak nie potrafią się w niej odnaleźć. Wciąż na nowo porusza mnie złożoność i zawziętość ludzkiej natury; bogactwo, które fascynuje i przeraża jednocześnie.

(Dokończenie na stronie 18)

Światło bursztynów

(Dokończenie ze strony 17)

Bardzo ciekawie zauważa, że na świecie wszystko jest jednocześnie przez małą i dużą literę. Jest prawda i Prawda, jest miłość i Miłość, jest wiersz i Wiersz, jest człowiek i Człowiek. Paradoxy najkrócej i najmocniej mówią o rzeczywistości. Nadzieją jest komunikacja duchowa i odpowiedzialność wewnętrzna za siebie nawzajem. Zostać wprzęgniętym w tajemną służbę dobru. Czas jest szczególnym zapasnikiem, wyzwaniem raczej niż bezwładem. Nie można kochać Boga poza człowiekiem. Siostra Medekszy uczyła podziwu dla profesora Zdziśława Wałaszewskiego, który „odkrył” Bożenkę Ankę dla poezji i prozy, w ogóle dla literatury.

Według autorki najlepszymi ludźmi na świecie są: Siostra Wielka Bożena i prof. Wałaszewski zwany Wałaszem lub Wałaszkiem: nie ma Małej Bożenki bez Wielkiej.

Prezentując ciekawe metaforyczne zauważenie: w tym roku złapałam jesień na gorącym uczynku. Dla siostry Bożeny Anny: Krzyż jest wszystkim, oparty o niebo. Wskazuje na bezinteresowność poezji: niczego nie „załatwia”, nie dyktuje, po prostu jest. Dowcipnie ujmując funkcję przełożonej zakonnej: niektórzy nie wiedzą, jak słabym człowiekiem Bóg się posługuje, gdy mówi o sobie. Zauważa, że narzekanie jest tak samo potrzebne ludziom do życia, jak miłość. Piękno poezji i harmonii dodaje modlitwie zgromadzonemu wiernym nowych wymiarów i głębi w czasie konsekracji kościoła Niepokalanego Serca Maryi na Krzeptówkach. Był to akt dziękczynienia za ocalenie Jana Pawła II. Patrząc na ludzi dostrzega, że w głębi duszy człowiek chce być prowadzony i formowany w konfrontacji z wielorakimi formami zła. Prześciga grzesząc nie przestaje być człowiekiem, a jako człowiek powinien mieć szansę pokuty i nawrócenia.

Ze szczególnym zainteresowaniem czytałam fragment „Moich miejsc” nazwany „W sercu Stolicy”, poświęcony Stefanowi kardynałowi Wyszyńskiemu. Bożena Anna pisze: Kardynała nie można było nie słuchać, czy nie usłyszeć. Jego program był krótki: Miara, zachowania się jak trzeba”. Królewski trakt stał się żywym Kościołem dla potomnych w mądrości, potędze myśli i odwadze kardynała Wyszyńskiego, Prymasa Tysiąclecia.

Bożena Anna Flak jest znakomitą turystką, potrafi „oprowadzać” czytelnika po zwiedzanych miejscach, zabytkach, placach i ulicach, potwierdzanych historią (i jest wcale nie gorsza od bedekerów Budrewicza). Na wskroś oryginalna w spoglądaniu na świat, spotkaną rzeczywistość. Mam podobne spostrzeżenia jak Siostra Nazaretanka. Gdy jechałem moskiewskim metrem przerażały mnie (dosłownie) postacie milczących ludzi, nie uśmiechających się, nawet próbowałem ich sprowokować do choćby najskromniejszego uśmiechu. Darmnie, nie udało się...

Pisząc o Rosji („Do której Moskwy?”), prowadzi za sobą, w dal (jak w wierszu Błoka). Rosjanie niosą zakrywaną prawdę, szukając ratunku w tajemnicy, w odosobnieniu śpieszą się i milczą. Mieszkańcy największego kraju kuli ziemskiej wykazują wyjątkową cierpliwość, wyciszeni są w miejscach publicznych, (mają obawy że znajdzie się donosiciel). Potrafią czekać na autobus, tramwaj, na zabranie głosu, na przyjęcie przez lekarza w przychodni. Przeżywają satysfakcję i radość, gdy znajdzie się pęto kiełbasy (względnie sadła) oraz butelka alkoholu (często samogonu).

Ukazuje kontrasty (także i te teraźniejsze): na Uralu, będącym potencjalnie najbliższą częścią świata, mieszkańcy otrzymują głodowe pensje. Będąc w Jekateryburgu, (Świerdłowsku) nie sposób nie przywołać bestialskiego morderstwa całej rodziny Romanowych (w tym cara Mikołaja II) przez bolszewickie komando.

Autorka demonstrując swym czytelnikom potęgę skojarzeń, rozwija „temat”, niczego nie zamyka, czego choćby przykładem może być: sympatyczna firaneczka z motywem jarzębinki, „drzewka Uralu” w oknie ekspresu pędzącego na trasie transsyberyjskiej, łączącej Moskwę z Władystokiem, zbudowanej jeszcze przed bolszewickim przewrotem). Znajdujemy bardzo trafne zauważenie: Kreml bardziej instytucja niż miejsce.

Warto jeszcze wrócić do Paryża i podziwiać unikatową perspektywę ulic oglądanych z Łuku Triumfalnego. W spojrzeniu na architekturę zaczynają błyszczeć, tańczyć posągi i rzeźby, wytryskują strumienie i strumyki wody. Ile razy można powtarzać, przywoływać piękno dla obcowania z nim, być z nim dla jego „dotykania”. Nieskończenie: patrząc na katedrę Notre Dame, wieżowce World Trade center, czytając „Ode do młodości”, patrząc na Ermitazu na obraz Rembrandta „Powrót syna marnotrawnego”. W „Synu” dokładnie przyjrzała się wielbładowi: jak wstaje przy siedzeniu na piętach. Trafia do trzech wiosek, zamieszkałych przez chrześcijan, posługujących się językiem aramejskim, którym mówił Chrystus.

Poetycki opis przywołuje podróż po Meksyku, „nagły krzyk serca o tlen”.

Zobaczyła największe sanktuarium maryjne – bazylikę Matki Bożej z Guadelupe, na którą patrzyła wszystkimi zmysłami, dotykającą obecnością. Dużym przeżyciem dla siostry Bożeny było spotkanie z miejscami, w których żyła jej bratnia dusza, poetka, uczona, Juana Ines de la Cruz. Zaimponowało Bożenie bogactwo form, tematów, gatunków i stylów prezentowanych przez Juanę szczerością spojrzenia i zdobytą wiedzą. Widoczna była swoboda poruszania się w dziedzinach sakralnych, jak i laickich życia, odnajdywanie się w wolności i poczuciu tożsamości. Trzeba mieć szczególną otwartość by móc tak napisać: dużo pytań zadało mi twoje życie.

W Australii punktem orientacyjnym jest Krzyż Południa, określający lokalizację bieguna południowego. Autorka zauważa interesujący przykład narodowej tożsamości, ambicje i pionierską energię Australijczyków, którzy sprawiają wrażenie bardziej wolnych, mniej zabieganych. Zauważa, jak w wielu odwiedzanych

krajach obecność nazaretanek ma znaczenie nie tylko w promowaniu wiary, religii, budowaniu królestwa bożego.

Do Bożeny Anny docierają śmiało poglądy siostry Małgorzaty Borkowskiej, prezentowane w książkach „Oślica Balaama” i „Ryk oślicy”. Istotną treścią tych publikacji jest relacja ksiądz – siostra zakonna. Wyjątkowo obrazowo ukazuje tę relację: „zbite bydłko (siostra), które w końcu zaryczało na ujeżdżającego je pana (księdza)”. Należy zauważyć, że w powszechnym odbiorze siostra zakonna stoi niżej niż ksiądz. Przedstawiając zdanie w tej kwestii należy stwierdzić, że wszystko zależy od prezentowanych wartości, postawy, wiedzy, poziomu formacji duchowej (czy to księdza, czy siostry).

Przychodzi zauważenie: potargane zostały powszechne stereotypy, przygotowanie przyszłych księży w seminariach duchownych pozostawia wiele do życzenia, beltanie obrazu rzeczywistości wdiera się, a jakże, na kazalnicy i zajmuje tu nieraz więcej miejsca niż Chrystus. Zdaniem siostry Bożeny Anny chodzi o budzenie, a nie o czczą krytykę dla krytyki. Przecież najważniejsze jest karmienie czystą nauką Kościoła, czyli Prawdą wynikającą ze Słowa Bożego Objawienia i dogmatów. Należy doskonalić sztukę wypowiedziania się przez kapłanów. W konkretnych sytuacjach odpowiedź znajdujemy w podstawach filozofii personalistycznej. „Rozsypane bursztyny” niosą z wielu kierunków światło Bożeny. Rozsypanka jest kompozycyjnie przemyślana przez autorkę: zmienia się jej natężenie, kontrolowany jest ruch zdarzeń, pojawiających się postaci, obrazów, przywołań. Umieszczanie portretów na bursztynowych ułamkach jest znakomitą pomysłową Yuliany Tabenskiej. Ukazane na kawałkach bursztynu postaci są w ruchu, pragną być zobaczone, chcą „wyskakiwać” z kartek książki. Pierwsza strona okładki pokazuje przyciągające się symbole: rodziennego domu, Krzyża i różańca, skomponowanego z rozsypanych bursztynów – to wszystko na papieskim żółtym tle pomieszczone.

„Rozsypane bursztyny” to książka z werwą napisana. Bardzo dobrze czyta się tę prozę. Można się z niej dowiedzieć o wielu rzeczach, sprawach, często unikatowych, jak na przykład życiu zakonnym. Spotykamy ciągle przenikanie się epiki oraz liryki, siostra Bożena nie przestaje być poetką.

To gęsta od znaczeń, wyjątkowo interesująca pozycja prozatorska, czyta się ją prawie zachłannie, z wyjątkowym zaciekawieniem. Jest w niej wiele odniesień/ujęć bliskich mi. Sprawiały mi radość, wzbogacały wiedzę, pogląd na świat i ludzi, pozwalały wersyfikować swoje poglądy, spostrzeżenia. Mądrze i pięknie ukazwane są tajemnice, które gubione są we współczesnym świecie. Autorka kocha prezentowane postaci, traktuje je wyłącznie podmiotowo, ma dla nich serce.

Paweł Kuszczynski

Bożena Anna Flak, „Rozsypane bursztyny”. Wydawnictwo Sióstr Loretanek, Warszawa 2024, s. 267.

Andrzej Dębkowski

Księga życia i odpowiedzialności

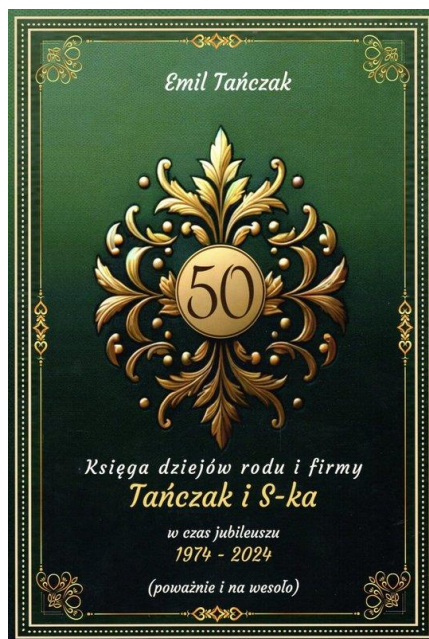
Księga Dziejów rodu i firmy Tańczak i Spółka jest dziełem, które trudno zamknąć w prostych definicjach. To nie tylko obszerna kronika, nie tylko świadectwo minionych lat, lecz przede wszystkim zapis niezwyklej drogi człowieka, który rozumiał, że historia – zarówno ta wielka, jak i ta najcichsza, rodzinna – rodzi się z codziennych wyborów, pracy, wytrwałości i lojalności wobec wartości, które raz przyjęte, prowadzą przez całe życie.

Emil Tańczak, twórca tej niezwyklej księgi, jest człowiekiem, którego nie sposób opisać jednym słowem, jednym gestem czy jednym czynem, bo jego osobowość i działania układają się w wielowymiarową opowieść o odwadze, wierności, sile charakteru i niegasnącej ciekawości świata. Z jednej strony związany z Opolem – miejscem, które formowało jego wrażliwość, pracowitość i przywiązanie do tradycji – z drugiej zaś jakby wyjęty z ram zwykłych biografii, wykraczający poza swoje czasy dzięki zdolności widzenia szerzej, głębiej i dalej niż inni.

Ci, którzy go znają, często mówią o nim różnymi językami. Jedni podkreślają jego talent przedsiębiorczy, widząc w nim człowieka zdolnego do podejmowania decyzji wymagających odwagi, konsekwencji i odpowiedzialności. Inni opisują go jako humanistę, człowieka zamyślonego, przekonanego, że prawdziwa wartość rodzi się tam, gdzie spotykają się serce i rozum, tradycja i nowoczesność. Są też tacy, którzy widzą w nim wizjonera, kogoś, kto potrafił tworzyć rzeczy trwałe, piękne i potrzebne, zanim inni w ogóle dostrzegli ich przyszłe znaczenie. A jednak żadne z tych określeń nie oddaje w pełni jego postaci, bo Emil Tańczak jest przede wszystkim człowiekiem wyjątkowym – człowiekiem, którego wielkość nie wynikała z jednego talentu czy jednej pasji, lecz z umiejętności harmonijnego łączenia różnych światów i przekuwania ich w coś, co przetrwało próbę czasu. A w centrum tych światów, w ciszy jego codzienności, zawsze obecna była wiara – nie jako ornament, lecz jako żywy fundament, z którego czerpał siłę, spokój i zdolność do podejmowania mądrych decyzji. Była dla niego przestrzenią, w której świat zewnętrzny spotykał się z wewnętrznym, a obowiązki łączyły się z sensem.

Księga, którą stworzył, jest dokładnie takim połączeniem – zapisem osobistego wysiłku i rodzinnej pamięci, dziedzictwa i nowoczesnego spojrzenia, opowieści o pojedynczych ludziach i o firmie, która stała się symbolem solidności i polskiej przedsiębiorczości. Jej powstanie wynikało z głębokiej potrzeby ocalenia historii, która w przeciwnym razie mogłaby zniknąć w wirach codzienności. Emil Tańczak przez lata gromadził dokumenty, zdjęcia, rękopisy, notatki, opowieści i

drobiazgi, z których utworzył wielobarwną mozaikę losów swojej rodziny i firmy. Nie robił tego dla chwały, lecz z poczucia obowiązku – bo wiedział, że bez pamięci nie ma ciągłości, a bez zrozumienia przeszłości trudno budować przyszłość. Jego działanie można porównać do pracy dawnych kronikarzy, skrupulatnie i z pietyzmem zapisujących każdy szczegół świata, który kochali i chcieli zachować dla tych, którzy przyjdą po nich. A jednak w tym skrupulatnym zbieraniu i porządkowaniu historii kryła się także cicha modlitwa – przekonanie, że każde ludzkie życie jest częścią większego planu, że losy rodziny składają się na sens, który warto rozpoznawać z wdzięcznością.



A jednak ta księga nie jest tylko świadectwem przeszłości. Jest również obrazem jego samego – człowieka, który wierzył, że historia ma wartość wychowawczą, że jest źródłem mądrości i odpowiedzialności. Dlatego pisał nie tylko o faktach, lecz także o ich sensie. Potrafił łączyć realność z refleksją, konkret z duchem, losy rodziny z losami przedsiębiorstwa, bo widział w nich jedną wspólną opowieść. Wiedział, że firma nie istnieje w próżni, lecz wyrasta z doświadczeń swoich twórców, z ich ambicji i lęków, z ich porażek i zwycięstw. Pokazał, że biznes może być przedłużeniem rodziny – miejscem, gdzie pielęgnuje się wartości, rozwija skrzydła i uczy odpowiedzialności za innych. I właśnie w tym miejscu jego wiara odgrywała rolę szczególną: nadawała właściwe znaczenie pracy, nadawała rytm życiu i uczyła pokory wobec tajemnicy ludzkiego losu. Nie była deklaracją, lecz życiem; nie była teorią, lecz praktyką, widoczną w jego

postawie, relacjach, gotowości do niesienia pomocy i w tym, że każdą decyzję poprzedzał chwilą milczącej refleksji.

Tym, co wyróżnia Emila Tańczaka spośród wielu ludzi sukcesu, jest jednak nie tylko zdolność budowania i dokumentowania, lecz przede wszystkim sposób, w jaki postrzegał swoją rolę. Nie uważał się za bohatera czy wyjątkową jednostkę. Uważał się za kogoś, kto ma obowiązek wykorzystać swoje możliwości w służbie większym celom – rodzinie, społeczności, firmie, historii. Praca była dla niego nie tylko środkiem do osiągnięcia dobrobytu, lecz także źródłem godności i radości. Wiedział, że praca – ta codzienna, mozolna, nie zawsze spektakularna – buduje człowieka silniejszego niż najbardziej efektowne sukcesy. Dlatego był wymagający wobec siebie, a jednocześnie życzliwy wobec innych, bo rozumiał, że każdy człowiek staje każdego dnia przed własnymi bitwami i własnymi wyborami. Jego wiara czyniła go człowiekiem jeszcze bardziej uważnym, jeszcze bardziej empatycznym, jeszcze bardziej świadomym, że żaden sukces nie jest tylko dziełem jednostki, a każdy dar warto przekuć w dobro. Umiął dziękować za to, co osiągnął, traktując swoje życie nie jako własność, lecz jako powierzona misję.

Jego życie było szkołą odpowiedzialności. Potrafił podejmować trudne decyzje, ale zawsze kierował się zasadami, które uznawał za nienaruszalne. Szacunek, rzetelność, uczciwość, lojalność – te słowa w jego życiu miały realną wagę. Zestawiał je z marzeniami, które prowadziły go w stronę nowych inicjatyw, nowych pomysłów i nowych wyzwań. Łączył to, co wielu uważa za niemożliwe do pogodzenia: wrażliwość z siłą, tradycję z innowacją, stanowczość z pokorą. Nie gonił za zyskami, lecz za sensem, i dlatego jego działania – zarówno w biznesie, jak i w życiu prywatnym – były trwałe, głębokie i inspirujące. A w tle tych działań, czasem dyskretnie, a czasem otwarcie, pulsowała wiara, która nadawała jego krokom kierunek i chroniła przed zgubnym przekonaniem, że człowiek jest panem wszystkiego. Wiedział, że jest tylko częścią większego porządku, że prawdziwa siła nie rodzi się z ego, lecz z pokory – a ta była jego cichą, codzienną towarzyszką.

Także jego intuicja była czymś niezwykłym. Widząc świat, dostrzegał w nim nie tylko to, co oczywiste, ale przede wszystkim to, co dopiero miało nadejść. Umiął czytać zmiany, przewidywać potrzeby, dostrzegać zagrożenia. Dzięki temu firma Tańczak i Spółka rosła, umacniała się i rozwijała, stając się symbolem solidności, jakości i odpowiedzialności. Lecz to, co najważniejsze, pozostało niematerialne – atmosfera, etos i duch,

(Dokończenie na stronie 20)

Księga życia i odpowiedzialności

(Dokończenie ze strony 19)

który sprawia, że nawet po latach wspomina się nie tylko samego założyciela, lecz także sposób, w jaki patrzył na ludzi i świat. Ten duch wyrastał również z jego głębokiego przekonania, że w każdym człowieku kryje się dobro, które warto pielęgnować, oraz że praca ma największą wartość wtedy, gdy służy nie tylko zyskowi, lecz także budowaniu wspólnoty i poczuciu sensu, jakie wiara wprowadza w codzienne życie.

Księga Dziejów rodu i firmy Tańczak i Spółka jest zatem nie tyle dokumentem, ile pomnikiem – pomnikiem zbudowanym nie z kamienia, lecz z pamięci i ducha. To pomnik wytrwałości człowieka, który wiedział, że aby coś przetrwało, trzeba temu poświęcić czas, uczucie i uważność. To pomnik wyobraźni, bo Emil Tańczak nie tylko pisywał to, co było, lecz także nadawał temu formę, sens i ponadczasowy wymiar. I wreszcie jest to pomnik siły charakteru – bo jego życie pokazuje, że wielkość nie potrzebuje rozgłosu, nie potrzebuje pomników na placach, lecz tylko jednego: aby być przechowywana w sercach i umysłach kolejnych pokoleń. A w najgłębszej warstwie tej pamięci trwa coś jeszcze – przekonanie, które niósł przez całe życie: że to, co budujemy na wartościach, które dają wiara, trwa dłużej niż jedno pokolenie i ma sens niezależny od zmieniających się czasów.

Ta księga, tak samo jak całe jego życie, jest hołdem – hołdem złożonym rodzinie, pracy, historii i wartościom, które pozostają niezmiennie mimo zmieniających się czasów. Jest świadectwem człowieka, który potrafił zatrzymać to, co ulotne, i przekształcić to w coś trwałego. Jest inspiracją dla tych, którzy chcą budować własne historie odważnie i odpowiedzialnie. Emil Tańczak pokazał bowiem, że wielkość nie polega na krzyku, lecz na codziennej cichej pracy, na odwadze bycia wiernym sobie, na determinacji w dążeniu do tego, co dobre i uczciwe. Jego dzieło trwa, działa i przemienia innych – i w tym właśnie kryje się prawdziwa miara człowieka wyjątkowego. A ci, którzy znali go najlepiej, powtarzają jedno: że wszystko, co tworzył, wyrastało z głębokiej wdzięczności za życie, z przekonania, że to, co ważne, buduje się sercem, oraz z wiary, która prowadziła go z taką samą pewnością, z jaką on prowadził innych.

Andrzej Dębkowski

Emil Tańczak, *Księga dziejów rodu i firmy Tańczak i S-ka w czas jubileuszu 1974-2024 (poważnie i na wesoło)*. Redakcja i kompozycja książki: Harry Duda. Projekt okładki: Anton Komar (Rafał Tańczak). Opracowanie edytorskie: Wojciech Starczewski. Korekta: Renata Żemojcin. Transkrypcja rękopisów: Małgorzata Maciejka. Wydawca: Specjalistyczny Zakład Opieki Zdrowotnej „Tańczak i S-ka” Sp J., Opole 2024, s. 544.

Poetyckie „Gdziekolwiek” Doroty Kwoki

Bardzo schludnie wydany w 2025 roku nowy tom poetycki **Doroty Kwoki** pt. „Gdziekolwiek” wydał mi się tym szczególnie w jej dorobku.

Pomimo że autorki przedstawiać szerzej rzeszowskiemu środowisku nie potrzeba, to poświęcę jej jednak kilka zdań. Bo jest Dorota Kwoka artystką znaną i cenioną – nie tylko na Podkarpaciu. Można przypomnieć, że wstępowała do ZLP w kieleckim oddziale. Ale całe jej życie zawodowe i artystyczne związane jest z Rzeszowem. Stąd liczne nagrody i wyróżnienia – w tym Nagroda Marszałka Województwa Podkarpackiego, Srebrny Krzyż zasługi nadany przez Prezydenta RP czy honorowa odznaka Zasłużonego dla Kultury Polskiej.

Autorka „Otwierania róży” jest wszechstronnie utalentowaną artystką, nie tylko poetką – wydała już osiem tomików wierszy (nie licząc tych, których była współautorką), ale też malarką – uczestniczką wielu wystaw indywidualnych i zbiorowych, także plenerów, grafikami oraz bardzo cenioną interpretatorką tekstów literackich. Wraz ze Stachem Ożogiem nagrała ponad 60 płyt z poezją własną oraz zaprzyjaźnionych twórców. Jest też m.in. laureatką ZŁOTEGO PIÓRA, jakie otrzymała od rzeszowskiego oddziału ZLP. Swoje życie zawodowe związała z Rzeszowską Spółdzielnią Mieszkaniową, jest też wieloletnim członkiem Zarządu Związku Zawodowego „Budowlani”.

Jak już wspominałem – ostatnio wydany tomik Doroty Kwoki – jest wyjątkowy nie tylko ze względu na treść, ale powiedziałbym, że jego wymiar metafizyczny. Mówi to sama dedykacja tego tomu: „Tym co odeszli – poświęcam”.

Mógłby ktoś pomyśleć, że są to epitafia dla ludzi albo też – wspomnienia tych, którzy odeszli – w jakikolwiek sposób. Są to jednak epitafia – jeżeli można tak to określić – obrazów, uczuć, pragnień, czasami pożądań, jakie w zderzeniu z czasem i przestrzenią wygasły, zostały złożone do grobu i teraz czekają na wskrzeszenie.

Bo jest też w tych wierszach nadzieja powrotu – aczkolwiek nie zawsze pewna – utraconego. Wszystko to dokonuje się w obliczu paradoksu natury, w tym przypadku lasu, który może przybliżać ludzi ku sobie, ale i oddalać. Jak choćby w wierszu „Las”: „Był upał / A ty zalany zimnem / jak ta kołdra / nawleczona wczoraj // (...) I ja twoja / w rozpaloną noc”. I w następnym pt. „Wrażenie”: „Nic / Nie było nic / A może było jak ten las // Czy coś było”. W kolejnym Zanurzenie: „Zanurzyłam w tobie / Poranek / Dzbanek / Kawę // Pochłonął mnie las / Czas / Ty w sobie”. I jeszcze jeden,

zatytułowany „Obawa”: „Czy kochaniem jestem / Nie wiem // (...) Jak można / nie kochać lasu”.

No właśnie – jak można nie kochać lasu? Las to przecież pierwsze schronienie ludzi, ale też duszy i ducha, według „Słownika symboli” Władysława Kopalińskiego, czasem ucieczka od ludzi, schronienie dla banitów i świętych (choćby przypadek św. Jana z Dukli szukającego skupienia w lesie pod Górą Cergową), ale też kochanków – jak Tristan i Izolda w Lesie Moreńskim.

Bo to jednak miłość jest głównym przesłaniem tomiku, miłość tego, co nieuchwytnie, co zranione, bo nawet – jak pisze poetka w wierszu Mogiła: „Na cmentarzu / w Paryżu / Arbelot z ukochaną / w dłoniach spoczywa”.



Historia Fernanda Arbelota to jeden z tych niezwykłych przykładów, w których miłość przekracza granice życia i śmierci. Arbelot – muzyk i aktor, zmarł w 1942 roku. Przed śmiercią miał jedno wyjątkowe życie: pragnął, aby po odejściu mógł wciąż patrzeć na twarz swojej ukochanej żony.

Na jego nagrobku, znajdującym się na słynnym paryskim cmentarzu Père-Lachaise, powstała nietypowa rzeźba. Przedstawia leżącą postać Arbelota, trzymającego w dłoniach rzeźbioną twarz kobiety. W zamysłu ma to symbolizować nieprzerwaną więź małżonków – on, choć już po drugiej stronie, wciąż wpatruje się w swoją ukochaną.

Tak też ta nietypowa więź łączy poszczególne wiersze tomiku Doroty Kwoki. Pomiędzy przemijaniem a wiecznością, miłością a utratą, zaklętą w słowo jak choćby w tytułowym wierszu Gdziekolwiek, dedykowanym pamięci Józefa Szydełki: „Wołam ciszę gdziekolwiek // struny racją pękają / jak żyły ostatnim milczeniem // (...) I tylko / Zdrowaś Maryjo // Gdziekolwiek jesteś”.

Sądzę, że to udane połączenie wątków funeralnych z miłosną narracją skierowaną zarówno do miejsc (bo oprócz krajobrazów typowo polskich pojawia się też Singapur i Paryż), jak i ludzi ukochanych. Tomik jest opatrzone rysunkami i grafikami samej autorki Gdziekolwiek – w dużej mierze dopełniającymi jego treść i liryczne przesłanie.

Jan Belcik

Dorota Kwoka, „Gdziekolwiek”, Rzeszów 2025.

Filozofia codziennosci

prof. Marii
Szyszkowskiej (232)



Fot. Andrzej Dębowski

Te nazwy są wyrazem degradacji wartości człowieka. Powoływanie się na godność i płynące z niej prawa człowieka pozostaje w sprzeczności z owymi określeniami. Kant w XVIII wieku podkreślał – i warto do tego wrócić – że człowiek ma być traktowany jako „cel sam w sobie”, a nigdy jako „środek do celu”.

W Polsce, po przewrocie politycznym w 1989 roku, odciska się na świadomości społeczeństwa katolicyzm odwołujący się do filozofii Tomasza z Akwinu oraz pragmatyzm filozoficzny. Oczywiście, moralność głoszona przez Kościół rzymskokatolicki nie ma nic wspólnego z pragmatyzmem, którego elementy szerzą media. Bywa, że świat wirtualny mocniej kształtuje sposób myślenia większości niż poglądy funkcjonujące w programach edukacyjnych.

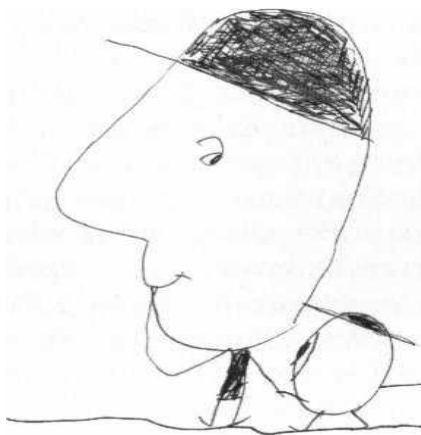
Ze starożytnej Grecji wyniesiony został pogląd, rozwinięty następnie w kolejnych wiekach, że kształtowanie w sobie człowieczeństwa wymaga odniesienia do ideałów. One nas uczłowieczają. Wielu filozofów wskazuje na to, że po narodzinach jesteśmy zadatkami człowieka, egzystujemy na poziomie potrzeb biologicznych. Potem pojawiają się potrzeby materialne i niestety miliony przeciętnych ludzi pozostają przez całe życie zainteresowane głównie zaspokajaniem niskich wartości. Potrzebę wyższych wartości należy rozbudzać. I tu zaczyna się wielkie zadanie procesów edukacyjnych.

Zdaniem wybitnego filozofa i zarazem profesora medycyny Kazimierza Dąbrowskiego, należy uznać osoby istniejące głównie na płaszczyźnie potrzeb biologicznych i materialnych jako osoby chore. Mianowicie uczony ten pojmuje zdrowie psychiczne jako zdolność do rozwoju przez nierównowagę psychiczną w kierunku ideałów indywidualnych i grupowych. Niezbędne jest na tej drodze budowanie zdrowia psychicznego i zarazem właściwości indywidualnych. Kazimierz Dąbrowski wprowadził nowe pojęcie, a mianowicie **pozytywne nieprzystosowanie** do świata. Jego zdaniem tylko w trzech następujących przypadkach należy uznać nieprzystosowanie do środowiska jako negatywne:

alkoholizm, narkomania i lekomania, droga przestępstw. Inne przejawy nieprzystosowania ocenia ten uczony jako cenne poszukiwanie własnej drogi.

Mądrzy pedagodzy, podobnie jak filozofowie, rozumieją, że człowiek nie jest „gotowy”. Osiągając stan samoświadomości i uczestnicząc w edukacji zinstytucjonalizowanej należy podejmować także wysiłek autoedukacji, który powinien trwać przez całe życie. Otóż ani system szkolny, ani wyższe uczelnie nie zajmują się podnoszeniem reakcji uczuciowych na wyższy poziom, pomijają kształtowanie wyobraźni, jak również wrażliwości. Edukacja jest nastawiona na kształtowanie sfery intelektualnej i to nie zawsze w sposób wystarczający, bowiem przybliża się zbyt małą liczbę możliwych poglądów na świat. Pomijane w edukacji uczucia, to zasadniczy błąd zważywszy ich wszechobecność w psychice człowieka.

Zezwolenie na korzystanie z bryków doprowadziło do tego, że literatura piękna, która wzbogaca język, pobudza uczucia, przynosi wzruszenia i rozbudowuje wyobraźnię, stała się nieobecna w życiu wielu milionów Polaków. Podobnie w edukacji wyższej wyrugowanie filozofii doprowadziło do kształtowania wąskich specjalistów. Filozofia przestała być obowiązkowym przedmiotem w wyższych uczelniach, mogą też z nią nie zetknąć się studenci Medycyny, czy Weterynarii. Co więcej, został zniesiony obowiązek egzaminu z filozofii przy doktoratach. Niebezpieczeństwo zawiera się w tym, że warstwa polskiej inteligencji, znana ze swojej wszechstronności, zamienia się w grupę specjalistów o wąskich horyzontach i niskim rozwoju sfery uczuć o ile ktoś nie podejmie sam trudnego procesu rozwoju duchowego, czyli psychicznego.



Rys. Jan Stępień

Dzisiejsza pedagogika i filozofia wyjaśnia, że człowiek jest inny – ale nie lepszy od zwierząt. W konsekwencji ma to budować właściwy stosunek do świata przyrody a nie kolonizatorski. Europejscy pedagodzy, podobnie jak filozofowie, są zgodni co do tego, że ideały powinny wyznaczać sens życia człowieka.

Spontanicznie człowiek zmierza do tego, by być szczęśliwy, ale jak wyjaśnił to już w XVIII wieku Immanuel Kant, do szczęścia

prowadzi nas niezawodnie instynkt, dziś powiedzielibyśmy – intuicja. Szczęście ma wymiar zindywidualizowany. Natomiast sens życia, dążenie do jego spełnienia, włącza nas we wspólnotę osób zmierzających ku analogicznym wyższym wartościom.

Dominacja sfery intelektualnej i niska uczuciowość oraz wrażliwość, nierozwinięta wyobraźnia, prowadzą do tworzenia się struktur psychopatycznych. Wyjaśniam, że psychopata, to człowiek często wykształcony, inteligentny, ale odznaczający się niedostatkami uczuciowości, wrażliwości i wyobraźni. Psychopaci stanowią zagrożenie, bowiem ich rozum pozostaje na usługach popędów, zwłaszcza dążenia do dóbr materialnych i władzy. Te osoby nie mają skrupułów w osiągnięciu celów. Zdaniem Kazimierza Dąbrowskiego część polityków w rozmaitych krajach składa się właśnie z psychopatów. Natomiast najbardziej wartościowymi, twórczymi jednostkami są psychonerwicowcy. Profesor Dąbrowski wykazał, że psychonerwicowe dolegliwości, to cena przyspieszonego rozwoju wewnętrznego. Przepadał wraz ze swoimi uczniami w Kanadzie około 300 biografii wybitnych twórców rozmaitych dziedzin wykazując, że twórcy nowych teorii mieli z reguły dolegliwości psychonerwicowe, by powołać przykład Prousta, jego potrzebę zmroku, ciemności w których tworzył.

Edukacja zinstytucjonalizowana pozostawia człowieka bezradnym wobec pytań jak istnieć, które wartości uznać za naczelne, który spośród wielu światopoglądów uznać za własny? Brakuje drogowskazów, bo fakt opowiadania się wielkiej liczby jednostek po stronie jakiegoś światopoglądu nie jest dowodem jego słuszności. Nieodzwonna jest pomoc, którą do niedawna kolejne pokolenia odnajdywały w literaturze pięknej. W wielkich dziełach literackich znajdujemy refleksje filozoficzne, bowiem pisarze sięgają do dzieł filozofów. W powieściach Londona odnajdziemy ślady filozofii Herberta Spencera, w poezji Tetmajera – myśli Schopenhauera. Bolesław Leśmian pozostawał pod wpływem Bergsona. Na Ibsena oddziaływał Nietzsche, na Gombrowicza wpływ wywarli egzystencjaliści, by przestać na tych przykładach.

Na szczególne znaczenie poezji i powieści wskazuje fakt, że filozofowie sięgają do tych form, bo nie wszystko można wyrazić w traktacie naukowym. Fryderyk Nietzsche i Tadeusz Kotarbiński opatrywali swoje dzieła własnymi wierszami. Sartre, by odwołać się do innego przykładu, pisał powieści i dramaty sceniczne. Trzeba też podkreślić, że artyści i pisarze wyrażają wprawdzie własne poglądy, ale odznaczają się z reguły ponadprzeciętną uczuciowością, wrażliwością, wyobraźnią, więc ukazują to, na co wielu nie zwraca w dostatecznej mierze uwagi. Wielkie dzieła tworzą osoby nieprzeciętne. W nich może znaleźć odpowiedzi człowiek, który buntuje się przeciwko prawdom obiegowym.

cdn.

Maria Szyszkowska

Moja walka z rakiem

(77)

1 lipca 2020

Noc spokojna i bez problemów. Wstałem o 5 rano, choć jeszcze z pół godziny poleżałem. Ale przed 6 już byłem na nogach i zacząłem zwyczajny dzień: czyli od lektury „Zarysu dziejów religii” i języka angielskiego. Potem poszliśmy z Halinką na mszę, bo to dziś jej imieniny. No i jak zwykle drobne zakupy w sklepie i na rynku. Po 10 pojechaliśmy do galerii Vivo i obejrzelśmy z wałów, jak wyglądają niedawno oddane po przeróbkach stalowowolskie błonia. Nie widać żadnych zniszczeń. Od przechodnia, który spacerował ścieżkami, dowiedzieliśmy się, że wymontowano na czas ewentualnej powodzi tylko ławki, jak to sam określił, niepotrzebnie. Choć uważam, że słusznie, bo kto wzięłby odpowiedzialność za ewentualne zniszczenia zamontowanych urządzeń. Pogoda na razie nadal zmienna, to jednak San na błoniach nie poczynił większych szkód. Miejmy nadzieję, że tak już pozostanie. I z tymi optymistycznymi refleksjami wróciliśmy do domu. Obiad był już ugotowany: zupa szczawiowa z ryżem i jajkiem na twardo oraz kawałkiem mięsa. Podczas posiłku obejrzałem film „Cudowny świat przyrody”. Bohaterami były mombasy i diabły tasmańskie, żyjące w Australii. Jedne i drugie należą do gatunku torbaczy. Po krótkiej drzemce i obejrzeniu informacji z Internetu przyszła do nas sąsiadka i koleżanka Halinki z życzeniami imiennymi. Towarzyszyłem obu paniom podczas rozmowy i nalewałem do lampek przyniesioną metaxę, greckie brandy, wznosząc toast za zdrowie solenizantki.

2 lipca 2020

Rano pojechaliśmy na zakupy do marketów, a po 10 oczekiwaliśmy przyjazdu brata i bratowej Halinki. Znów pokosztowaliśmy tortu i metaxy. Po obiedzie oglądałem film „Cudowny świat przyrody” o gazeli Granta żyjącej na Serengeti w Afryce.

Dziś zadzwonił do mnie Cezary Łukomski z Warszawy, które ma grabowskie korzenie. Okazuje się, że zebrał wiele ciekawych materiałów dot. własnej rodziny, genealogii, pochodzenia, przynajmniej od XVIII wieku, ale nikogo to z Grabowa wcale albo mało obchodzi. Sam, z własnych pieniędzy, zbudował na cmentarzu grobowiec, którym upamiętnia historię swoich przodków, podaje nazwiska uczestników powstań, zasłużonych dla historii miasteczka. Ale nie wszystkim to się jednak podoba. Niektórzy mówią, że prywatnie! Dotychczasowi wójtowie byli spoza Grabowa, dyrektorzy GOK-ów też nie mieli grabowskich korzeni albo mieli zupełnie inne kwalifikacje, np. do prowadzenia amatorskich zespołów artystycznych i to się głównie liczyło. Nikogo

historia Grabowa, jego przeszłość nie interesowała. Miejscowi regionaliści nie mają żadnego wsparcia na miejscu. Łukomski zwrócił się do mnie jako literata (?...), abym zapoznał się z jego materiałami. Obiecałem, że to zrobię, ale nic więcej. W obecnej sytuacji nie mam możliwości, aby go w czymś wesprzeć, nawet piórem, napisać o jego zainteresowaniach czy napisać coś do prasy. Mieszkam daleko od rodzinnych stron i nie mam żadnych kontaktów, także z lokalną prasą i mediami. Tak temu panu odpisałem w mailu: „Proszę Pana, po naszej rozmowie zrodziła się we mnie taka myśl, którą chcę się z Panem podzielić: czy Pan starał się swoimi odkryciami historycznymi zainteresować prasę łódzką, nawet radiem i telewizją. Bo z tą panią, która pracuje w redakcji Dziennika Łódzkiego w Łęczycy, to szkoda rozmawiać. Chce, żebym za nią pisał artykuły, a ona opatrzy je swoim nazwiskiem. Najlepiej, gdyby Pan swoje notatki, z jakimś serdecznym listem przesłał do samej redakcji gazety czy telewizji w Łodzi. Może to kogoś zainteresuje i napisze o Pańskich pasjach jakiś artykuł, zrobi wywiad. Oni lubią takich pasjonatów. A Grabów ma u nich dobrą passę ze względu na znaną już ludziom grę w palanta, kilkakrotnie pokazywaną i nagłośnioną nawet w ogólnopolskiej TV. Tradycja ta skupia na rynku całe miasteczko zaraz po świętach wielkanocnych. No i koniecznie proszę utrzymać kontakt z łódzkim Muzeum Archeologicznym i Etnograficznym, i koniecznie zainteresować swoimi notatkami, skoro muzeum łęczyckie to nie interesuje. Moim zdaniem: warto się o to bić!”.

3 lipca 2020

Rano, do południa piękna pogoda, a potem, po południu, duszno i deszczowo. Poszedłem na rynek i zrobiłem niezbędne zakupy. W pocztce internetowej zauważyłem, że mam maila. To Cezary Łukomski przysłał mi mailem obiecanie swoje notatki historyczne, które przekazałem pocztą dyrektorze GCK i bibliotece publicznej w Grabowie, prosząc, aby wszystko wydrukowały, zbindowały i zostały jako materiały historyczne, źródłowe do dalszych badań dot. Grabowa i okolic, tym bardziej, że Cezary Łukomski sięgał nawet do źródeł z XVII wieku, zapisywanych po łacinie, ale ktoś te książki parafialne mu jednak przetłumaczył. Po rozmowie telefonicznej z dyrektorką GCK zrozumiałem, że mogę jej takie zadanie powierzyć. Sympatyczna osoba, pochodząca z tych stron, także jej rodzice i pewnie dziadkowie. Ponoć należała też jako uczennica do miejscowej orkiestry dętej. Uczestniczyła również w amatorskich zespołach artystycznych. Ukończyła, pewnie na UŁ, pedagogikę. Zapraszała mnie też na spotkanie w rodzinnych stronach. Wyjaśniłem jej jednak, że na razie jest to niemożliwe ze względu na moją chorobę i słabą kondycję fizyczną. Sporo czasu poświęciłem też na przeglądanie tych zapisków, m.in. dot. uczestników powstania listopadowego 1830-31. Jak się okazuje, sporo oficerów walczących w powstaniu, pochodziło z tych stron i pow. łęczyckiego. Byli to w większości synowie drobnej szlachty, która nie miała już majątków, ale utrzymy-

wała się z gospodarstw rolnych własnych albo pełnili w cudzych majątkach rolę oficjalistów, zarządców czy wóldarzy.

Podczas obiadu obejrzałem kolejny film z cyklu „Cudowny świat przyrody” o kotikach i sowach, pomagającym izraelskim rolnikom i sadownikom w zwalczaniu plagi gryzoni.

4 lipca 2020

Piękna pogoda prawie cały dzień. Ciepło. Na stalowowolskim targowisku masa ludzi. Przyzwyczaili się już do tego, że pandemia nas nie dotyczy. Daj Boże, aby tak było. Po załatwieniu wszystkich pilnych spraw i sobotnim odkurzaniu sporo czasu poświęciłem czytaniu przesłanych mi przez Cezarego Łukomskiego z Warszawy notatek z różnych archiwalnych ksiąg, które były przedmiotem jego poszukiwań genealogii i dziejów własnej rodziny. Ponieważ pytał mnie o zdanie, wysłałem mu moje pierwsze refleksje: „Proszę Pana, przeczytałem już 25 stron notatek i 5 stron biogramów powstańczych. Idzie to wolno, bo przecież nie jest to kryminał, który się czyta jednym tchem, ale akta parafialne lub notarialne czy sądowe, napisane językiem staropolskim. Interesujące jest, że nazwy wsi się u nas niewiele zmieniły. Za to wiele wymienionych przez Pana nazwisk można spotkać w okolicach Grabowa. Ciekawe, że wszystkie mają zakończenie „-ski”, a więc była to szlachta. Z tych archiwalnych zapisków można się też dowiedzieć, że ludzie są zawsze sobie podobni. Kiedy czytam w zapiskach z XVII wieku, że kogoś pobito na polu czy drodze, zniszczono zasiewy, zabrano woły z uprzężą itp., to tak jakby to było dziś, no najdalej wczoraj. Z opowiadań moich rodziców pamiętam o napadach na dwory, gospodarzy, wyprowadzeniu trzody i bydła nocną porą. Mama wspominała, że wuj Jan Osowski przed wojną miał broń, by w razie napaści bronić się przed złodziejami czy bandytami. Jeszcze na początku lat 90. można było tu czy tam usłyszeć, że ktoś komuś zabrał z łąki krowy czy zabrał płony. Może dzisiejsi złodzieje zadawają się VAT-em? Ale mamy premiera Morawieckiego, który na to też nie pozwoli, wszystkich upilnuje, łącznie z b. premierem Tuskiem. I nikomu nie da nic, co najwyżej tylko swoim. No może przed wyborami także jeszcze innym. Jest się hojnym, bo trzeba wygrać. Ciekawe to wszystko, na pewno ważne do uzupełnienia historii naszych rodzinnych stron. Żałuję, że nie mogę tych notatek sam wykorzystać i czegoś o nich na użytek publiczny napisać. Ale wierzę, że przydadzą się one przyszłym badaczom i historykom”.

Dziś obejrzałem też film przyrodniczy o bobrach i środowisku, jakie się rodzi przy ich żerowaniach. Też ciekawy, zrobiony przez polskiego przyrodnika i operatora filmowego.

cdn.

Miroslaw Osowski

POEZJA

Monika Banaś, *Mieszka we mnie sowa*. Redakcja: Joanna Nowocien. Fotografie: Monika Banaś. Opracowanie DTP: Ewa Kozioł. Posłowie: Rafał Nowocien. Wydawnictwo i Drukarnia Towarzystwa Słowaków w Polsce, Kraków 2025, s. 56.

Anna Giesko, *Sianokosy*. Redakcja, wstęp, projekt okładki i zdjęcie na I stronie okładki: Andrzej Dębkowski. Zdjęcie na IV stronie okładki: Katarzyna Pawelec. Wydawnictwo Autorskie Andrzej Dębkowski, Żelów 2025, s. 88.

Krzysztof Gołębiowski, *Ludzie tak szybko chodzą*. Redaktor: Jerzy Grupiński. Projekt okładki: Emilia D. Gołębiowska. Opracowanie typograficzne: Maria Kuczara. Korekta: Agnieszka Nawrocka. Zdjęcia autora z archiwum domowego. Redaktor serii Biblioteka FONT: Łucja Dudzińska (112). Wydawca: FONT, Poznań 2025, s. 48.

Magdalena Jankowska, *Ledum*. Projekt okładki: Mariusz Walach. Wydawnictwo Ex-Libris, Lublin 2025, s. 48.

Bartłomiej Kierzkowski, *Dziennik niepogody*. Rysunki: Maciej Michalski. Zdjęcia z archiwum autora. Wydawnictwo i Drukarnia Towarzystwo Słowaków w Polsce, Kraków 2025, s. 128.

Stefan Patuszewski, *Na krawędzi*. Okładka i ilustracje: Julia Jaskuła. Instytut Wydawniczy „Świadectwo”, Bydgoszcz 2024, s. 88.

Anna Pituch-Noworolska, *Cień stokrotki / The Shadow of a Daisy*. Tłumaczenie wierszy: Anna Pituch-Noworolska, Anna Maria Stępień. Redakcja: Ewa Nowicka. Fotografie kwiatów: Anna Pituch-Noworolska. Projekt okładki: Marta Jaszczyk. Fot. na okładce: PhotoIris2021 / Adobe Stock. Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kraków 2025, s. 154.

Sławomira Sobkowska-Marczyńska, *Opuszczone tarasy*. Ilustracje: Radosław Barek. Zdjęcie na skrzydełku: Monika Marczyńska-Leśniak. Wydawnictwo Literackie ATENA, Poznań 2024, s. 54.

Adriana Szymańska, *Zeszyt istnienia*. Ilustracje: Justyna Małczak. Projekt okładki: Beata Kowalewska-Tylka. Zdjęcie na IV stronie okładki: Klara Drużycka. IANUA, Wydawnictwo Bratni Zew, Kraków 2025, s. 100.

PROZA

Adam Boberski, *Księgi*. Z posłowiem Jacka Inglota. Redaktor serii, koncepcja i nazwa serii: Jacek „Franco” Horegza. Credo serii: Jacek „Franco” Horegza, Jakub Turkiewicz, Piotr Marczak. Redakcja: Bazyli Skarbimierski. Korekta: Józef Kołobrzewski. Ilustracja na okładce: Jacek „Franco” Horegza & Anna Lala. Opracowanie graficzne: Anna Lala, Joanna Fijałkowska, Dominika Świątkowska. Wydawnictwo Odmienne Stany Fantastyki „OdeSFa” – Fundacja KIS. Seria Wydawnicza Szamani Fantastyki, pozycja 13, Brzeg 2025, s. 386.

Stanisław Karolewski, *Ciemność*. Redaktor

serii, koncepcja i nazwa serii: Jacek „Franco” Horegza. Credo serii: Jacek „Franco” Horegza, Jakub Turkiewicz, Piotr Marczak. Redakcja: i korekta: Adam Boberski. Ilustracja na okładce: Anna Szwajgier. Opracowanie graficzne: Anna Lala, Joanna Fijałkowska, Dominika Świątkowska. Wydawnictwo Odmienne Stany Fantastyki „OdeSFa” – Fundacja KIS. Seria Wydawnicza Szamani Fantastyki, pozycja 8, Brzeg 2023, s. 382.

Łászló Krasznahorkai, *A świat trwa*. Przełożyła i opatrzyła posłowiem: Elżbieta Sobolewska. Projekt okładki: Agnieszka Pasierska. Projekt typograficzny: Robert Oleś. Na okładce grafika *Partial eclipse of the Moon, observed October 24, 1874*, ze zbiorów Library of Congress. Redakcja: Adam Pluszka. Korekta: Karolina Górniak-Prasnał. Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2025, s. 344.

Agnieszka Rynkowska, *Szklane koraliki. Opowiadania*. Redaktor prowadzący: Piotr Janicki. Redakcja: Ewelina Biernaś. Korekta: Karolina Przybył. Projekt okładki, projekt typograficzny: Przemysław Wierzbowski. Wydawca: Książnica Podlaska im. Łukasza Górnickiego, Białystok 2025, s. 210.

NAUKA, SZTUKA KULTURA

Bogusław Chrabota, *Koniec świat Templariuszy*. Redaktor: Karolina Kaczorowska. Projekt okładki i stron tytułowych: Szymon Wójciak. Projekt typograficzny: Barbara i Przemysław Kida. Wydawnictwo Zysk i S-ka, Poznań 2025, s. 425.

Remigiusz Grzela, *Poszukiwany Franz Kafka*. Redaktor inicjujący: Paweł Pokora. Redakcja: Ewa Popielarz. Korekta: Joanna Dzik. Projekt okładki: Magdalena Wójcik-Zienkiewicz. Zdjęcia na okładce i źródła ilustracji: ZMD-Design / Adobe Stock. Zdjęcie Autora: Larisa Stachacz. Retusz Zdjęcia okładkowego: Katarzyna Stachacz. Wydawca: Marek Jannasz, Lira Wydawnictwo, Warszawa 2025, s. 320.

Simon Jenkins, *Krótką historią Europy. Od Peryklesa do Putina*. Przełożył: Tomasz Hornowski. Redaktor: Grzegorz Dziamski. Projekt i opracowanie graficzne okładki: Urszula Gireń. Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o., Poznań 2022, s. 440.

Jarosław Kurski, *Dziady i dybuki. Opowieść dygresyjna*. Redakcja: Jan Cywiński. Korekta: Teresa Kruszona. Projekt okładki: Wojciech Kwieciń-Janikowski. Zdjęcie na okładce: archiwum rodzinne (Klara Modzelewska, Koszyłowiec, ok. 1928). Opracowanie graficzne: Elżbieta Wastkowska, ProDesGraf. Fotoedycja: Marcin Kapica. Przygotowanie zdjęć do druku: Łukasz Irzyk. Rysunki drzew genealogicznych: Michał Wastkowski. Redaktor prowadzący: Marcin Kicki. Wydawca: Agora, Warszawa 2025, s. 472.

kard. Grzegorz Ryś, *Inkwizycja*. Opieka redakcyjna: Sławomir Rusin. Korekta: Strefa Słowa Małgorzata Śekalska, Dariusz Godoś. Projekt okładki: Marcin Jakubinek. Wydawnictwo

WAM, Kraków 2020, s. 182.

Michael Schadewitz, *Ardeny 1944-1945. Tajne operacje Skorzenego*. Przełożył z angielskiego Adam Maliszewski. Projekt okładki i stron tytułowych: Michał Bernaciak. Redakcja merytoryczna: Michał Świgoń. Redaktor prowadzący: Zofia Gawryś. Redaktor techniczny: Małgorzata Słezak. Korekta: Teresa Kepa. Wydawnictwo Bellona, Warszawa 2010, s. 416.

Jadwiga Ślomczyńska, *Maria Konopnicka. Życie i twórczość*. Projekt okładki i opracowanie graficzne: Alina Wiszenko-Zabrowarny, Pracownia Wydawnicza Andrzej Zabrowarny, Warszawa 2024, s. 350.

Aleksandra Szarłat, *Jan Nowicki – trochę anioł, trochę bies*. Redakcja: Alicja Szara. Korekta: Hanna Jagodzińska. Projekt okładki, opracowanie graficzne: Maciej Trzebiecki. Fotoedycja: Waldemar Gorlewski. Przygotowanie zdjęć do druku: Mariusz Rosa. Redaktor prowadzący: Katarzyna Kubicka. Wydawca: Agora, Warszawa 2025, s. 452.

Maria Szyszkowska, *Opowieść o Stawie*. Opracowanie redakcyjne: Andrzej Ziemiński. Opracowanie graficzne i projekt okładki: Iwona Polańska. Zdjęcia: I strona okładki – Zygmunt Samosiur, IV strona okładki – Jan Stępień, Jerzy Płoński (MTJ), Krzysztof Rydzewski, archiwum prywatne Sławy Przybylskiej. Korekta: Grzegorz Bogucki. Wydawnictwo „Kto jest kim”, Warszawa 2023, s. 82.

Maria Szyszkowska, *Rozważania niepoprawne. Elementy filozofii człowieka i filozofii polityki*. Opracowanie redakcyjne: Andrzej Ziemiński. Opracowanie graficzne i projekt okładki: Iwona Polańska. Fotografia na okładce i rysunki: Jan Stępień. Korekta: Grzegorz Bogucki. Wydawnictwo „Kto jest kim”, Warszawa 2025, s. 140.

Emil Tańczak, *Księga dziejów rodu i firmy Tańczak i S-ka w czas jubileuszu 1974-2024 (poważnie i na wesoło)*. Redakcja i kompozycja książki: Harry Duda. Projekt okładki: Anton Komar (Rafał Tańczak). Opracowanie edytorskie: Wojciech Starczewski. Korekta: Renata Żemojcin. Transkrypcja rękopisów: Małgorzata Maciejaska. Wydawca: Specjalistyczny Zakład Opieki Zdrowotnej „Tańczak i S-ka” Sp. J., Opole 2024, s. 544.

Włodzimierz Tasak, *Reformacja. Sukces czy porażka?* Redakcja: Elżbieta Mamcarz. Korekta: Anna Kijania. Zdjęcie na okładce: Fotolia.com. Projekt graficzny: Radosław Krawczyk. Oficyna Wydawnicza VOCATIO, Warszawa 2017, s. 408.

Barbara Tyszkiewicz, *Zawieyski, pisarz w roli polityka*. Projekt okładki i opracowanie typograficzne: Marcin Kiedio/kiedio.pl. Fotografia: Jerzego Zawieyskiego na okładce ze zbiorów Narodowego Archiwum Cyfrowego, 1967, fot. Władysław Miernicki. Wydawnictwo Instytutu Badań Literackich, Warszawa 2024, s. 608.

Steve Weidenkopf, *Chwała krucjat*. Przekład: Katarzyna Aust, Agnieszka Szurek. Redaktor prowadzący: Michał Wilk. Adiustacja językowo-stylistyczna: Magdalena Korczyńska. Korekta: Zofia Smęda. Projekt okładki: Paweł Kremer. Zdjęcie na okładce: ©Jarosław Grudziński. Wydawnictwo ePSe, Kraków 2023, s. 342.

Miroslaw G. Majewski

Buszujący w antykwariatach

(9)

Obok mojego laptopa leży mały tomik poezji, o tyle interesujący, że polowałem na niego kilka dobrych lat. Z gwiazdą w oku to poetycki debiut **Leszka Żulińskiego** wydany przez wydawnictwo PAX w 1975 roku. W tomiku tym, który kupiłem szczęśliwie na Allegro widnieją dwie pieczętki; Parafia św. Jana Chrzciciela, ul. Grunwaldzka Nr 2 59-901 Zgorzelec Tel. 21-61. Książeczka jest niemal w idealnym stanie, co świadczyć może o delikatnym podejściu czytelników do drukowanego słowa, albo całkowitym brakiem zainteresowania poezją nikomu nieznanemu debiutantowi, który na skrzydełku obwoluty wygląda niczym wychodzący od fryzjera hippis. Po przeczytaniu pierwszej wiersza bardzo żałowałem że nie dane było mi poznać Leszka w tamtym czasie.

Cóż, kiedy tomik ten ujrzał światło dzienne miałem 14 lat i mieszkalem w miasteczku w którym w jednym jego końcu była biblioteka, a w drugim księgarnia. Do biblioteki miałem bardzo blisko i byłem częstym jej klientem, a aby dojść do księgarni musiałem przejść prawie przez całe miasteczko, i zaglądałem tam jedynie aby zakupić podręczniki, jeżeli rzecz jasna dostałem na nie talony. Nawet mi trudno jest teraz uwierzyć, że były takie przaśne czasy. Dlaczego o tym wszystkim wspominam? Czyż nie jest to kuriozalne? Leszek Żuliński debiutuje w katolickim wydawnictwie i jest gościem parafialnych bibliotek.

Leszka poznałem o wiele później, gdzieś w połowie lat 90-tych, nie mając pojęcia o jego politycznym zafiksowaniu, ale nie o tym przecież chcę pisać. Tytuł tomiku „Z gwiazdą w oku” to swego rodzaju kod, symbol, znak, który być może teraz nad interpretuje, ale tomik nie zawiera wiersza o takim tytule, jest natomiast osiem wierszy których tytuły zaczynają się od słowa MODLITWA, te nie zachwyciły mnie aż tak, jak wiersz pierwszy i bodajże trzeci od końca, które pozwolę sobie przytoczyć: Tryptyk /1/ Już pora / otrząsnąć się z symboli / stać się poetą doskonale otwartym na samotność /2/ Ojczyzna ze mnie emigruje / a moi wewnętrzni wojacz-kowie gubią oręż /3/ Pozostaje tylko osoba mądrość / która nocami tłucze się po huku / na mnie i na was /.

Dziś, trzy lata po śmierci autora, znając dość dobrze jego skomplikowany życiorys można ten wiersz czytać na różne sposoby. W swojej lakoniczności mówi to, co

Dostojewski w „Zbrodni i karze”. Być może jest w tym trochę przesady, ale to było moje pierwsze skojarzenie. Leszka poznałem już po tych wszystkich politycznych turbulencjach, gościłem go w swoim domu, przyjechał z Warszawy do Olkusza na mój wieczorek autorski, piliśmy kawę i jedliśmy wiecheński sernik w Jamie Michalika, recytowaliśmy swoje wiersze zamieszczone w Almanachu Krakowskiej Nocy Poetów na spędzie poetów który zorganizował Szczepan Wroński. Rozmawialiśmy ze sobą godzinami, a kiedy wyjechałem za chlebem do Norwegii czytał moje gorzkie żale i podtrzymywał na duchu. Mam wszystkie jego książki (nie tylko poetyckie) od głośnej „Ja, Faust” z ciepłymi dedykacjami. Kiedy zapytałem go czy nie ma przypadkiem na zbyciu „Z gwiazdą w oku”, odpowiedział, że nawet sam go nie ma, gdzieś przepadł po którejś przeprowadzce. Dziś mógłbym się Leszkowi pochwalić, że ją mam, z trudem, ale zdobyłem. A teraz prawie ostatni wiersz: Rozmowa grabarza z Hamletem / Tutaj Hamlecie nad czeluścią ziemi / nasz filozofia jest inna // dla mnie to tylko ziemia pleśń i wilgoć / kilka spraw biologicznych spod herbu robaka / czas o granicach ściśle wymierzonych / tak że refleksja każda zbyt skomplikowana / pomyśl: / coż może znaczyć jej miłość obłęd i śmierć / wobec prostoty mijania i gnicia // dla ciebie to co proste jest jeszcze pytaniem / w nocy pod kolumnadą słysząc twoje kroki / jakbyś szukał sposobu – jest to szamotanie / widoczne w każdym mięśniu twojej nerwowej twarzy / w tych dziecięcych zwiędnięciach że czaszka Yorika / ma w sobie coś z Keatona że konsekwencje narodzin są obce mej profesji... // Mój drogi / niewątpliwie obaj mamy rację / ja i ty – dla siebie / i niech już tak zostanie / skoro czas dzięki każdej jakoś nam upływa... Kończąc zdradzę, że jeden z naszych wspólnych znajomych stwierdził, że Leszek Żuliński pisze bardzo estetyczne wiersze, ale nie ma w nich duszy. Nie zgadzam się z taką opinią, uważam, że są to wiersze jak najbardziej z duszą.

Chociaż być może obaj mamy rację...

Leszek Żuliński, *Z gwiazdą w oku*. Wydawnictwo PAX 1975.



Janusz Orlikowski

Choinka

ale nagle pojawia się choinka
niby nic a jednak...
i dlaczego takie ma znaczenie
że wszyscy spoglądają na nią

czy te bombki i światełka w ciemni
i z niej czekanie na świtanie
aby pojawił się promyk słońca
gdy dotyka nas ona?

wszelkie inne ozdoby
barwią się na wszystkie sposoby
czerwony srebrny i złoty
niebieski i inne kolory

świtanie to jednak za wcześnie
to jeszcze nie marzec czy kwiecień
grudzień ma do powiedzenia jeszcze
narodziny Boga cierpliwości nic więcej

Iwona Pinno

Sarkofag

Zamknięta w sarkofagu na wieczność
codziennosc zakończyła swój bieg
żałobne dni w całunach z mgieł
W rosach jesiennych pajęczyn
A w kobiercu utkany
ze złotych liści lśni ła
jak najdroższy klejnot
Niedługo zapłonie znicz na cmentarzu,
gdzie spoczął poeta, pisarz i artysta
obok ukochanej małżonki
Mistrz słowa w słowach zamknięty
otwarty jednak w księgach
i w wierszach rozsypanych po świecie
jak emigranci czekający na azyl
jak to ogarnąć
jak zrozumieć ten literacki testament
treści zawarte w obrazach
krzyczą prawdy w satyrze
czy ktoś usłyszy?
Milczenie mówi więcej niż pieśń
szalonego poety

Wankendorf 23.10.2025



Gazeta Kulturalna

Poezja Proza Krytyka Historia Sztuka Muzyka

Redaktor naczelny – **Andrzej Dębkowski**.

Współpraca: prof. Ignacy S. Fiut, Joanna Friedrich, Andrzej Gnarowski, Stefan Jurkowski, Eugeniusz Kurzawa, Sławomir Łuczyński, Barbara Medajska, Janusz Orlikowski, prof. Maria Szyszkowska, Andrzej Walter, Tadeusz Zawadowski.

Redakcja nie zwraca niezamówionych materiałów. Zastrzega sobie prawo do skracania artykułów oraz zmian tytułów nadsyłanych tekstów bez uprzedniego powiadomienia autora. Skład: Andrzej Dębkowski. Druk: „TAGRAF”, 98-113 Buczek, Bachorzyn 13, tel. (043) 677-41-56.

Wydawca i redakcja: DOM KULTURY 97-425 ZELÓW, ul. Kościuszki 74, tel. (44) 634 10 98; 504 63 05 43; e-mail: andrzejdebkowski@wp.pl www.gazetakulturalna.zelow.pl